Cena 15 zł.

ZDRÓJ

KULTURA-ŻYCIE-SZTUKA

ROK I | LUBLIN, 15 MARCA 1947 R. | Nr 4 (29)

TREŚĆ NUMERU:

ZDZISŁAW PAPIERKOWSKI
NULLUM CRIMEN SINE LEGE
STEFAN WOLSKI
SŁOWO O JÓZEFIE CONRADZIE -KORZENIOWSKIM — PISARZU
JAN STANISŁAW ŁOŚ
HISTORIA I RZECZYWISTOŚĆ
STANISŁAW WYRZYKOWSKI
TRZY ZDROWAŚKI
JÓZEF GOŁĄBEK
CHRISTO BOTEV
CHRISTO BOTEV
HADŻI DIMITR
RECENZJE KSIĄŻEK
KRONIKA LITERACKA
KRONIKA TEATRALNA
KONKURS OCZYTANIA

ZDZISŁAW PAPIERKOWSKI

NULLUM CRIMEN SINE LEGE*)

Dosłowne tłumaczenie tych czterech słów łacińskich wypada dość niezgrabnie, a mianowicie: ż a d n e p r z e s t ę p s t w o b e z u s t a w y. Właściwy zaś sens tego hasła nowoczesnego prawa karnego polega na tym, że za przestępstwo uważa się jedynie ten czyn, który w czasie popełnienia go jest uznany za przestępstwo przez obowiązującą w tym czasie ustawę karną. Te cztery łacińskie słowa wyrażają więc zasadę legalności w prawie karnym, której pozytywną konsekwencją jest możność pociągania obywatela do odpowiedzialności karnej jedynie za takie zachowanie się, które koliduje z obowiązującym w tym czasie prawem karnym. I naodwrót zasada ta wyraża myśl (negatywna jej konsekwencja), iż obywatelowi wolno czynić wszystko, czego ustawa karna wyraźnie nie zakazuje i za tego rodzaju czyny nie może on być pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Zasadę legalności w prawie karnym nazwano za wzorem zaczątków konstytucjonalizmu angielskiego: m a g n a c h a r t a l i b e r t a t u m przestępcy, t. j. wielką kartą jego wolności. Nazwa to bardzo trafna, gdyż zaiste zasada legalności w prawie karnym, wykluczająca wszelką arbitralność i samowolę czynników wymiaru sprawiedliwości, stanowi jakgdyby klejnot demokratycznych swobód obywatelskich.

Długo istniało i funkcjonowało prawo karne, nie opierając się na zasadzie n u l l u m c r i m e n s i n e l e g e, otwierając zatem pole do nadużyć. Punktem zaś kulminacyjnym patologicznych stosunków, jakie w związku z tym zapanowały w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości karnej, było sądownictwo francuskie, zwłaszcza w XVII i XVIII wieku, kiedy to l e t t r e d e c a c h e t tj. tajny nakaz uwięzienia, stanowiący niejednokrotnie przedmiot transakcji handlowej, a nadto hojnie rozdawany różnym faworytom i metresom królewskim, oraz innych możnowładców, spędzał sen z powiek spokojnych i uczciwych obywateli, każąc im drżeć z obawy przed niepewnym jutrem. Wprawdzie był to tylko nakaz uwięzienia, ale za nim następował odpowiedni wyrok, oparty na widzimisię kompetentnych czynników, a zresztą często wyroku wogóle nie było i tajny nakaz uwięienia stanowił dostateczną podstawę do spędzenia długiego czasu w lochach więziennych, względnie wystarczający tytuł do banicji. Dopiero wielka rewolucja francuska postawiła sobie za cel, między innymi, poprawę stosunków panujących w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości i jednym z produktów tej akcji rewolucyjnej była właśnie zasada legalności w prawie karnym (deklaracja praw człowieka i obywatela), dająca obywatelowi gwarancję, że już nie tyraństwo, lecz poytywny przepis ustawowy będzie decydował o jego wolności osobistej i obywatelskiej. Z Francji przedostała się ta zasada do ustawodawstwa karnego innych krajów europejskich (głównie w okresie tzw. w i o s n y l u d ó w, 1848 r.) i do ostatnich czasów stanowiła aksjomat praworządności w tej dziedzinie życia społecznego, której treść stanowią dwa, niestety, niezbyt powabne i ponętne zjawiska, mianowicie zbrodnia i kara. Dopiero w ciągu ostatnich lat przed wojną niemieckie prawnictwo, szalejące na temat reformy prawa karnego, uznało zasadę n u l l u m c r i m e n s i n e l e g e za wytwór liberalizmu zgniłych demokracyj zachodnich i usunęło ją z prawa karnego, zastępując ją inną, „prężną", narodowo-socjalistyczną zasadą, wyrażającą się słowami: n u l l u m c r i m e n s i n e p o e n a (żadne przestępstwo nie powinno zostać bez kary). Za kryterium uznania danego czynu za przestępstwo przyjęto przy tym „das gesunde Rechtsempfinden des deutschen Volkes", t. zn. zdrowe poczucie prawne narodu niemieckiego. (dziwię się niektórym prawnikom w Polsce, powołującym się z przekonaniem i satysfakcją na tę hitlerowską zasadę!). Co to jest i jak w praktycznym zastosowaniu funkcjonuje zdrowe poczucie prawne narodu niemieckiego, wiemy doskonale z własnego i cudzego doświadczenia. Toteż pod wpływem tego przykładu możemy sobie wyobrazić wolność obywatela w państwie, w którym zamieniono zasadę: n u l l u m c r i m e n s i n e l e g e na zasadę: n u l l u m c r i m e n s i n e p o e n a.

A jednak powstaje pytanie, czy zasada legalności w prawie karnym jest do tego stopnia niewzruszonym kanonem, iż nie należałoby jej naruszać nigdy i pod żadnym warunkiem? Czyż w życiu społeczeństwa (narodu) nie zachodzą tego rodzaju sytuacje, które usprawiedliwiają naruszenie tej zasady i pociągnięcie obywatela do odpowiedzialności karnej za czyn, który formalnie nie był uznany za przestępstwo w chwili popełnienia go, który jednakże bardzo dotkliwie narusza pewne ważne dobro społeczne (narodowe)? Otóż, nie rezygnując z pełnego szacunku dla zasady n u l l u m c r i m e n s i n e l e g e, należy stwierdzić, że zasada ta nie jest religijnym dogmatem wiary, lecz jest wyrazem pewnego nastroju psychiki społecznej. Jeżeli zatem w tej psychice zajdą zmiany wywołane jakimś głębokim przeżyciem, domagającym się kategorycznie zajęcia odpowiedniego stanowiska prawnego względem przyczyn tego przeżycia, w takim razie owa tendencja psychiki społecznej staje się czymś hierarchicznie wyższym i ważniejszym, aniżeli najbardziej nawet respektowana dotychczas formalna zasada. W takim przypadku można, a nawet należy, zgodzić się na naruszenie zasady legalności w prawie karnym i zezwolić nowej ustawie karnej, wydanej pod wpływem owego głębokiego przeżycia społecznego (narodowego), na działanie wsteczne, t. zn. na objęcie jej przepisami czynów popełnionych przed jej wydaniem.

Weźmy np. pod uwagę takie zjawisko z niedawnej naszej przeszłości, jak zdrada narodu polskiego, dokonywana przez obywateli polskich bądź w formie czynnej współpracy z Niemcami, bądź w formie przyznawania się do przynależności do narodu niemieckiego lub przez Niemców uprzywilejowanego (t. zw. deklaracje volksdeutscherskie). Stosując bezwzględnie zasadę legalności w prawie karnym nie można by pociągać do odpowiedzialności karnej tych zdrajców narodu polskiego, gdyż popełnione przez nich czyny nie były uznane w czasie ich popełnienia za przestępstwo przez obowiązujące w tym czasie ustawy karne (z wyjątkiem nielicznych form współpracy czynnej, które można by kwalifikować jako przestępstwa określone w polskim kodeksie karnym). A przecież ani na chwilę nie można pogodzić się z myślą, aby puścić bezkarnie tego rodzaju policzek wymierzony przez zdrajców narodowi polskiemu w tak strasznym okresie jego egzystencji. Formalnie powstaje kolizja między zasadą legalności w prawie karnym, a tendencją psychiki narodowej w kierunku pociągnięcia zdrajców narodu do odpowiedzialności karnej i odpłacenia im w formie kary za ich ohydny postępek. De facto jednak tej kolizji być nie powinno, gdyż dla każdego zdrowo i uczciwie myślącego człowieka jest rzeczą oczywistą, iż formalna zasada legalności nie może utrzymać się wobec tak żywotnego interesu społecznego (narodowego) jak chęć i konieczność pomszczenia doznanej od zdrajców narodu krzywdy. Żadna, choćby najbardziej uświęcona zasada prawna, nie jest celem sama dla siebie, lecz jest tylko jednym ze środków, prowadzących do zaspokojenia żywotnych interesów i potrzeb społeczeństwa. Skoro one tego wymagają, formalna zasada prawna musi skapitulować. Również w procesie norymberskim, oraz w innych procesach karnych, toczących się przeciwko niemieckim zbrodniarzom wojennym, przedmiotem rozpatrywania są między innymi i takie czyny, które absolutnie nie dadzą pogodzić się z formalną zasadą legalności w prawie karnym (gdyż nie mają oddźwięku w przedwojennych ustawach karnych), które jednak jeszcze bardziej absolutnie nie dadzą pogodzić się z poczuciem prawnym skrzywdzonych przez tych zbrodniarzy narodów, względnie ich członków, które zatem usprawiedliwiają ukaranie ich na podstawie prawa działającego wstecz.

Czyżby z tych uwag, usprawiedliwiających w niektórych przypadkach rezygnację z zasady legalności w pruwe karnym, miało wynikać, że można tę zasadę całkowicie porzucić i recypować hasło hitlerowskiego prawa karnego: n u l l u m c r i m e n s i n e p o e n a? Bezwarunkowo nie! Czym innym bowiem jest reguła, a czym innym wyjątek. Hitlerowskie prawo karne podeptało całkowicie zasadę: n u l l u m c r i m e n s i n e l e g e, wprowadzając na jej miejsce w skali powszechnej tę drugą zasadę, jako regułę życia prawnego i w tym właśnie fakcie, że miało tu chodzić o regułę, tkwiło wielkie niebezpieczeństwo dla obywatela. Natomiast powojenne ustawodawstwo karne polskie, względnie przepisy prawne międzynarodowe (np. statut Trybunału Wojennego w Norymberdze), naruszając zasadę legalności w prawie karnym w związku z pociągnięciem do odpowiedzialności zdrajców narodu z czasów wojny, względnie niemieckich zbrodniarzy wojennych, czyni to wyjątkowo, a zatem w sposób nie zagrażający niebezpieczeństwem praworządności na terenie prawa karnego. Tego rodzaju wyjątkowe naruszenie zasady legalności w prawie karnym należy traktować jako akt konieczności państwowej (międzynarodowej). Nie ma przy tym wcale potrzeby uciekania się do sztucznej i nieco naciągniętej interpretacji tego zjawiska, idącej w tym kierunku, że właściwie nie mamy do czynienia nawet z formalnym naruszeniem zasady legalności w prawie karnym i wsteczną mocą obowiązującą powojennych przepisów karnych, gdyż czyny, o które w tych przepisach chodzi, są tego rodzaju czynami, iż zawsze muszą uchodzić za przestępstwo, bez względu na to, czy jakiś przepis ustawowy o nich wyraźnie wspomina, czy nie. Z punktu widzenia moralnego można się niewątpliwie zgodzić z tym poglądem, natomiast nie jest on trafny z punktu widzenia ściśle prawnego.

Jakkolwiek wyjątkowe naruszenie zasady legalności w prawie karnym nie może stanowić kamienia obrazy dla tej zasady, należałoby jednak życzyć sobie, aby te wyjątki były niezmiernie rzadkie i aby nie one potwierdzały regułę, lecz, aby reguła obowiązywała na podstawie własnej i bezpośredniej siły opartej na uczciwie pojętych prawach człowieka i obywatela. W szczególności zaś, jeżeli chodzi o naród polski, należy pragnąć gorąco, aby Bóg chronił go w przyszłości przed tego rodzaju przeżyciami, które usprawiedliwiałyby naruszenie zasady n u l l u m c r i m e n s i n e l e g e.

Zdzisław Papierkowski

*) Artykuł ten jest popularnym przedstawieniem najbardziej zasadniczego problemu prawa karnego, mianowicie zasady legalności w tymże prawie.

KONKURS OCZYTANIA

Redakcja dwutygodnika kulturalno-literackiego „ZDRÓJ" rozpoczyna w numerze 4-ym czasopisma stały „KONKURS OCZYTANIA".

Warunki Konkursu są następujące:

1. W Konkursie może brać udział każdy Czytelnik „ZDROJU".

2. Konkurs polega na odgadnięciu z jakich książek wzięto zamieszczone 3 urywki i kto jest ich autorem.

3. Odpowiedzi nadsyłać należy na adres Redakcji „ZDROJU": Lublin, ul. Peowiaków 5/13, z dopiskiem „Konkurs" na kopercie. Ostateczny termin nadsyłania kuponów z odpowiedziami mija 10 i 25 każdego miesiąca (rozstrzyga data stempla pocztowego).

4. Pomiędzy Czytelników, którzy nadeślą właściwe rozwiązania rozlosuje się 5 nagród.

Nagroda I — książka
Nagroda II — książka
Nagroda III — książka
Nagroda IV — bezpłatna prenumerata kwartalna „ZDROJU"
Nagroda V — bezpłatna prenumerata kwartalna „ZDROJU"

5. Wyniki Konkursu wraz z listą nagrodzonych ogłaszać będziemy w kolejnych następnych n-rach „ZDROJU"

Słowo o Józefie Conradzie-Korzeniowskim — pisarzu

Niedawno spotkałem zdanie przy okazji krótkiej przygodnej rozmowy o Conradzie - Korzeniowskim, iż nie możemy tego pisarza uważać za twórcę Polaka. Stwierdzenie to wypowiedziane zresztą przez literata — wydaje się słusznym, jeśli się zważy, iż wielkie literackie dzieło życia Korzeniowskiego zostało napisane w języku angielskim. Formalnie zatem podobny pogląd ma pokrycie. Istnieje wszakże niewielkie „ale", które otwiera możliwości dyskusji na ten temat i przy głębszym rozważeniu rzeczy doprowadza do ciekawych wniosków.

Wielki angielski pisarz John Galsworthy, przyjaciel Conrada—Korzeniowskiego, w odczycie p.t.: „Profile sześciu pisarzy" postawił go obok twórców tej miary co Turgieniew, Tołstoj, Maupassant, France i Dickens. Niezwykle chwalebna ta ocena wielkości literackiej Korzeniowskiego, ocena zresztą nie odosobniona, bo niewielu było i jest twórców, którzy by w życiu usłyszeli tyle pochwał i tyle mieli dobrych recenzyj co Conrad — może być oczywiście uważana li tylko za formalną promocję do klasy szczytowych wielkości literatury światowej. Taka promocja towarzyszy najczystszym osiągnięciom artystycznym. Przynależność narodowa czy państwowa, język, w którym dzieło nabrało kształtu, jest tu szczegółem bez znaczenia.

Twórcy wielkiej literatury światowej zdobyli szczyty przez postawienie i rozwiązanie ogólnoludzkich problemów, wykraczających poza granice państwowe i językowe. Przeważnie treść wiązała się u nich harmonijnie z pięknością stylu i z tymi wszystkimi osiągnięciami artystycznego wyrazu, które zalicza się do mało dostępnej krainy Wielkiej Formy. Dlatego też jest rzeczą drugorzędną, że bohaterami Tołstoja są Rosjanie z ducha i ciała, Maupassant'a — Francuzi, Dickensa — Anglicy. Nie o to wszak chodziłoby.

A jednak u Conrada- Korzeniowskiego znajdujemy małą ciekawostkę, nad którą warto się zastanowić. Bohaterami jego powieści i nowel nie zawsze są Anglicy. Znajdujemy wśród nich Francuzów (Peyrolt i inni z „Korsarza", generał d'Hubert i inni z „Pojedynku"), znajdujemy Rosjan (Razumow z powieści pt. „W oczach Zachodu", Tomassow z „Duszy Wojownika"), Włochów jak Nostromo, Iberyjczyków posianych na amerykańskim kontynencie jak Chilijczyk Gaspar Ruiz, Niemców, Norwegów, dzikie postacie Archipelagu Malajskiego, Kongo itd. Spotykamy raz nawet Polaków, choć Korzeniowski świadomie unika w twórczości swojej postaci i tematów ojczyźnianych.

Warto zatrzymać się nad angielskimi bohaterami pisarza. Zdawałoby się, że oni powinni być nie tylko najliczniejsi w dziele Conrada, ale i najwierniejsi w rysunku fizycznym i duchowym. Przeciwnie! Pozwolę sobie powołać tutaj dość chyba miarodajną opinię wspominanego pisarza angielskiego Galsworthy'ego, który oświadcza jak następuje:

„... nie ma w przebogatej galerii conradowskiej ani jednego portretu o prawdziwie angielskich rysach, bo nawet Marlowe, choć Anglik z nazwiska, nie jest nim ani trochę w rzeczywistości."

Jest to uwaga niezwykle trafna — można by rzec — kluczowa, gdyż odsłania zupełnie specjalny aspekt twórczości Korzeniowskiego. Mimo bowiem, iż bohaterowie jego formalnie są przynależni do tej czy innej narodowości, w rzeczywistości nie mają cech reprezentujących swoje narody, a w każdym bądź razie odsłaniają charaktery narodowo mało przekonywujące. Natomiast wszyscy mają jeden atrybut: są niezmiernie ludzcy.

Ów brak autentyzmu nacjonalnego u kogo innego należałoby uznać za podstawę zarzutu. U Conrada brak ten nie razi. Pisarzowi programowo nigdy nie zależało na wierności narodowych cech bohaterów; zależało mu natomiast na prawdzie ich cech ludzkich.

Ten jego artystyczny cel, wynikły z pewnością początkowo z procesów podświadomych, z których wyrósł później pisarz, musiał stać się w dalszej dojrzewającej osobowości twórczej generalnym założeniem.

I stąd należy — zdaje się — tropić szlak wielkości pisarza.

Nie mogło być inaczej. Przywołany w 17 roku życia kuszącym głosem „Przygody" i morza, znalazł się w szerokim, bardzo szerokim świecie wszelkich możliwych, realnych przygód. Potem zawołał go inny kuszący zew: pióro. I tej przygodzie ducha był posłuszny.

Między dwoma jednak tymi głosami leżała przestrzeń inna, niż ta, którą trzeba było przebyć fizycznie w 1874 roku od Krakowa do pierwszego okrętu w porcie marsylskim: przestrzeń dojrzałego intelektu; coś trudniejszego do przebycia niż najdłuższe czasem życie. Gorycz doświadczenia wyniesionego z granic spoiwierzanej na oczach całego świata ojczyzny i twardy mozół życia pracownika morskiego wpłynęły tak na wartość artystyczną — wcześniejszej zwłaszcza — twórczości Conrada, że w wiele lat później świetny krytyk angielski R. B. Cunninghame Graham mógł napisać o nim, iż jako pisarz „... na podobieństwo Minerwy wyskoczył z głowy Jowisza w pełnym rynsztunku i uzbrojeniu".

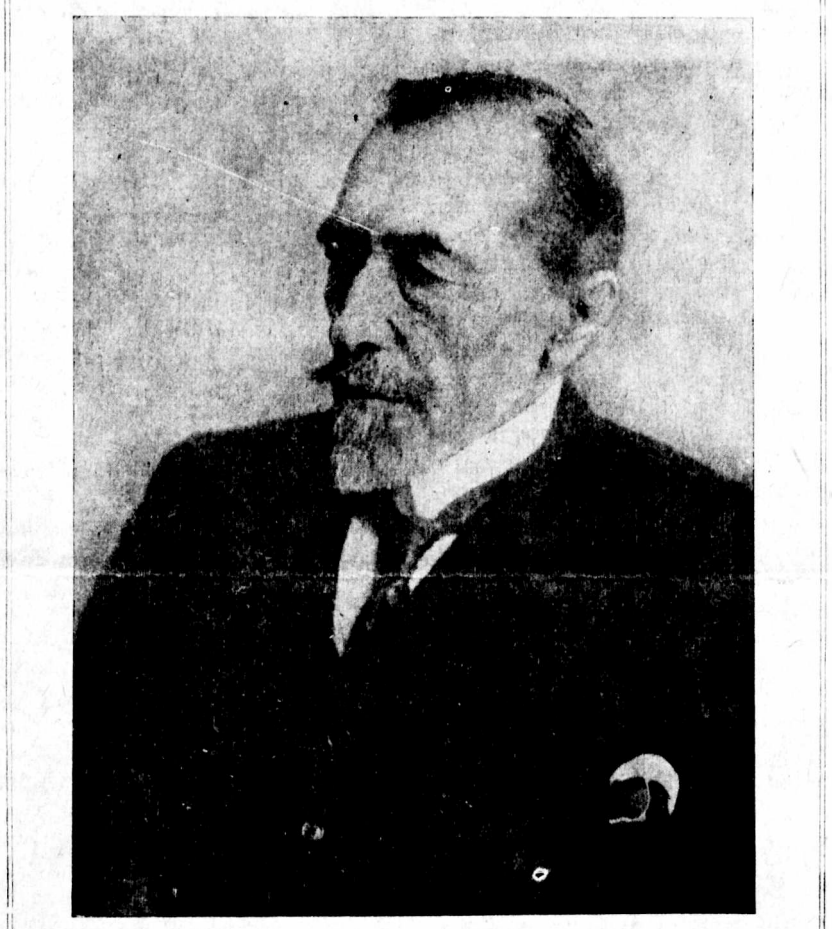

Ile wewnętrznego przeżycia musiał nagromadzić Korzeniowski, nim kierunek jego twórczości odnalazł właściwą drogę! A przecie na obcych ziemiach i wodach, zawieszony niejako w próżni nie określanej żadną bliską sercu granicą narodową, nie mógł oprzeć swej twórczości na naturalnym tak bardzo pomocnym związku pisarza z ojczyzną: ziemią, ludźmi, kulturą, religią, tradycją; potrzebami i bólami kraju i rodaków.

Granicami Conrada - pisarza z konieczności stał się świat. Dlatego twórczość swoją w jej najgłębszych założeniach umieścił właśnie w abstrakcyjnych granicach kultury i cywilizacji swojej epoki.

Sam powiada o sobie jako o artyście tak: „... Postawiony wobec tegóż samego zagadkowego widowiska (widowiska świata — przyp. aut.) artysta zstępuje wgłąb siebie samego i w tej samotnej krainie walki i napięcia znajduje treść swojego wezwania — jeśli na to zasłużył i jeśli mu sprzyja szczęście. Wezwanie jego zwraca się do naszych mniej jaskrawych właściwości; do tych cech naszej istoty, które — ze względu na bojowe warunki i kryją poza bardziej odpornymi i twarżycia — usuwają się wgłąb nas samych dymi właściwościami — tak jak ciało ulegające zranieniu kryje się w stalowej kolczudze."

Odtąd Conrad tworzy sztukę w istocie swej ponadnarodową, którą określa w następujący sposób:

„...Sztukę zaś można określić jako — wysiłek ducha, dążący do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobycie na jaw p r a w d y — wielorakiej i jedynej — ukrytej pod wszelakimi pozorami. Jest to usiłowanie, aby wykryć ... to co jest podstawowe, co jest trwałe i zasadnicze".

Dlatego też Conrad, — Korzeniowski w przeciwieństwie do współczesnego mu Proust'a szuka w c z ł o w i e k u tego, co jest w jego charakterze w i e c z y s t e. Stąd bohaterowie jego są właściwie obywatelami ludzkości. I stąd pisarz z nieskrępowaną niczym swobodą umieszcza ich nie tylko w formalnych granicach rodowych lecz idzie za nimi w głąb ich własnych krajów, poruszając się swobodnie raz w Rosji, raz we Francji, innym razem w imaginacyjnej południowo - amerykańskiej krainie Sulaco; kiedy indziej w samym Londynie, nie mówiąc już o wielkim obszarze lądów i wód Oceanu Spokojnego.

Wszędzie czuje się dobrze, ten błędny rycerz, niesiony żywym pulsem słowiańskiego temperamentu, **w pogoni za prawdą i wielkością jednostki ludzkiej, ukrytą w tragicznej, beznadziejnie tragicznej tajemnicy życia.** Nie pragnie dotykać bardziej skonkretyzowanych kwestyj literackich w Dziele Conrada, gdyż nie jest to obecnie moim założeniem. Nie sposób jednak nie wspomnieć o oryginalnej, mistrzowskiej technice i kompozycji pisarza, która tworzy z treścią tak idealną harmonię, iż — kiedy się postawi stwierdzenie, że czytelnik pod każdą szerokością geograficzną odnajdzie w wewnętrznym i zewnętrznym profilu conradowskich bohaterów rysy głęboko bliskie własnej duszy i własnej „twarzy", uzasadnieniem jest tu nie tylko treść, ale i forma, stanowiąca z treścią nową, nierozłączną, konstruktywną wielkość. Ludzie Conrada, narysowani w sposób jemu właściwy z jakimś zagadkowym kunsztem operowania plastyką, wraz z ich przeżyciami, myślami i czynami, wraz z ich ciekawymi, niespodziewanymi czasem (napozór) decyzjami, stanowią dla odbiorcy conradowskiego słowa problemy, które czytelnik musi sam rozstrzygać.

Dzieje się tak zarówno w rzeczach Conrada z okresu dzieł osnutych na tle przeżyć własnych autora, jak i w tej części twórczości, gdzie pracuje już jego czysta fantazja twórcza.

Wspomniany krytyk angielski Cunningham Graham pisze tak:

„... Conrad nigdy nie bawi się w kaznodzieję, trzyma tylko zwierciadło, by ludzie w nim się przejrzeli i wysnuli taki morał, jaki wyczytają ze swych własnych twarzy".

Oto — być może — to osiągnięcie twórcze pisarza, które właśnie było usprawiedliwieniem postawienia go u boku takich wielkości jak Tołstoj i inni. Jeśli zaś Conrad podobne credo literackie zakreślił sobie, to napewno nie dla podkreślenia swojej łączności z Wielką Brytanią, której czuł się — jak sam powiada — zepsutym przybranym dzieckiem (a właściwie „cesarstwa wielko-brytańskiego", jak się wyraża), ani dla zaakcentowania swej sympatii — powiedzmy — dla Francji, ani też — dla Rosji, której zresztą, nie mógł lubić; ani wreszcie dla odcięcia się od Polski, którą głęboko kochał do końca życia, ale właśnie dlatego, iż będąc oderwanym od macierzy musiał się wznieść w swoich założeniach twórczych do strefy ponadnarodowej. To zaś, że pisał w języku angielskim w takim ujęciu zagadnienia jest szczegółem bez większego znaczenia. Musiał być przecież przez kogoś czytany i musiał mieć wydawców.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że conradowska powieść „W oczach Zachodu" przetłumaczona na rosyjski, zyskała wielki rozgłos w kraju, do którego odnosi się bez reszty, jego zaś „Tajny agent" wzbudził wśród kół anarchistycznych USA Ameryki Północnej mniemanie (najbłędniejsze zresztą), że autor musiał mieć dużo wspólnego z londyńskimi anarchistami.

Bo Conrad - Korzeniowski w jakimś tajemniczym natchnieniu pisze wszystko tak, jakby widział na własne oczy.

Wspomniany Cunningham Graham, przy okazji omawiania kapitalnej opowieści Conrada pt: „Dusza Wojownika" (ostatniego krótkiego utworu Conrada przed śmiercią) pisze:

„... Wznosi się w niej ponad narodowość. Zapomina nawet o nienawiści dziedzicznych ciemiężycieli swej ojczyzny. Widzi ich kraj (Rosję — p. a.) nawiedzony i spustoszony przez zastępy napoleońskie, a ponieważ wiedział z okropnego doświadczenia, co przeszli, darzy ich swoją sympatią. Niełatwa to rzecz dla Polaka i świadcząca z innego punktu widzenia o jego geniuszu, gdyż trzeba geniuszu, by współczuć ze swym ciemiężycielem w chwili jego niedoli..."

A oto cytat opowieści pt.: „Książę Roman", dziejącej się w Polsce (napisanej w 1911 roku):

„... Mówca był narodowości polskiej, co nie tyle żyje, ile trzyma się jeszcze przy życiu, a istnienie jej polega na myśleniu, oddychaniu, mówieniu, spodziewaniu się i cierpieniu w mogile, zawartej milionami bagnetów i zapieczętowanej potrójną pieczęcią trzech wielkich potęg."

Oddajmy głos wsomnianemu angielskiemu krytykowi. Co on powie na temat takiej wypowiedzi:

„... Nie ma wątpliwości, iż miano tego mówcy brzmiało Józef Korzeniowski. Z każdego słowa odzywa się duch polskiego patrioty, płomienne poczucie krzywdy i niechęci do obłudnej Europy, która z „wymowną sympatią przyglądała się poniewierce jego Ojczyzny".

Jak zatem widać, nawet Anglicy nie mają wątpliwości co do polskości myśli Korzeniowskiego nie tylko jako człowieka, ale częściowo — i twórcy.

Inny krytyk Richard Curle pisze:

„... Muzykalność prozy Conrada nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie angielskich usiłowań, to jest w ogóle nowa melodyjność — romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy".

Okazuje się, że Conrad - Korzeniowski nie mając blisko czterdzieści lat w użyciu języka polskiego, kiedy się zetknął po raz pierwszy w Zakopanem w 1914 roku ze Stefanem Żeromskim, zadziwił go swoim swobodnym wysłowieniem się w języku ojczystym.

Pisząc zaś 25 marca 1923 roku list do Żeromskiego (po polsku, oczywiście) z podziękowaniem za przedmowę, używa takich słów:

„... Co do mnie, to wyznaję, że nie mam wyrazów, by opisać Panu moje głębokie wzruszenie przed tem zaszczytnem świadectwem od Ojczyzny przemawiającej głosem Kochanego Pana — największego Mistrza Jej literatury. Składam łaskawemu Panu najserdeczniejsze dzięki za czas, myśl i pracę, którą mi poświęcił i za sympatyczne ocenienie, które odkryło rodaka w autorze..."

Mamy więc dwie grupy spostrzeżeń. Do jakich wniosków należy dojść w rekapitulacji?

Nie ma wątpliwości, że wielki pisarz zawsze czuł jak Polak i nigdy nie zapomniał jakie wydało go z siebie społeczeństwo. Mało: chciał należeć do tej społeczności ojczyźnianej. Jednakowoż czuł to tylko Józef Korzeniowski — prywatny człowiek. Nie zmienia to przecie faktu, że twórczości jego z literaturą polską nie można złączyć w taki sam sposób, w jaki łączymy owoce pracy artystycznej Mickiewicza, Słowackiego, czy innego autora polskiego, z okresu tworzenia za granicą.

Nic więc dziwnego, iż Żeromski doszedł do wniosku, że:

„... ani jednym włóknem dorobek czysto artystyczny Josepha Conrada nie jest z literaturą polską złączony..."

Czy jednak na tym wyczerpuje się zagadnienie? Czy wobec tego należy Conrada poza jego prywatnym życiem już bez zastrzeżeń zaliczyć w poczet twórców współczesnej jemu literatury angielskiej?

W sensie czysto formalnym można by odpowiedzieć twierdząco. Gdy jednak zważy się powołane fakty, z których wynika, że Conrad — humanista świadomie tworzył c z ł o w i e k a praktycznie oderwanego od skonkretyzowanego obszaru narodowo - psychicznego, przesądzenie sprawy stanie się nie łatwe.

W tych warunkach najsłuszniejszą wydaje się koncepcja co dopiero rozwinięta, w której świetle spojrzymy na Conrada - Korzeniowskiego pisarza, jako na internacjonalistę czy uniwersalistę, z tym oczywiście, że nie ma to nic wspólnego z kosmopolityzmem, od którego Conrad był jak najdalszy myślą i czynem, nie będąc zresztą nigdy obojętnym dla spraw narodowych ojczyzny.

Ktoś mógłby mieć jeszcze zastrzeżenia co do wyboru języka angielskiego, w którym Conrad zdecydował się pisać, powołując się na znany fakt, iż dużo lepiej władał on np. językiem francuskim. Wyjaśnienie, poza już poprzednio oddanymi aspektami, wydaje się równie proste, jak słuszne wobec rezultatów mniejszych rozważań. Powszechnie mianowicie jest wiadomym, że w ostatnim dziesiątku XIX wieku, a więc w czasie gdy Conrad zaczął pisać, język angielski był bardziej, niż kiedykolwiek językiem międzynarodowym.

Stefan Wolski

JAN STANISŁAW ŁOŚ

HISTORIA I RZECZYWISTOŚĆ

CZY REWIZJA HISTORII JEST POTRZEBNA?

Od kilkunastu miesięcy toczy się dyskusja nad zagadnieniem, w jaki sposób należy zrewidować nasze poglądy na dzieje Polski, by dostosować je do potrzeb obecnej rzeczywistości. Przypominają się kłopoty owego świątego ziemianina z jednej z powieści Weyssenhoffa, który frasował się, jak „pogodzić zasady ewangeliczne z interesami wielkiej własności". Samo zagadnienie potrzeby rewidowania historii i to rewidowania stałego wydaje się nie dopuszczać innej odpowiedzi, aniżeli twierdzącą. Podobnie jak każda inna nauka musi dziejopisarstwo poddawać nieustannej krytyce wyniki dotychczasowych badań i zmieniać je ilekroć na zasadzie materiałów nowych lub lepiej zrozumianych okaże się, że istotny przebieg dziejów był inny niż dotychczas przypuszczano. Taki jest postulat elementarnej naukowej uczciwości.

ZADANIA HISTORII JAKO WIEDZY STOSOWANEJ

Rewidować natomiast poglądy na dzieje poto, by dostosować je do wymagań jakiejkolwiek rzeczywistości, jakichkolwiek interesów narodu, jakichkolwiek racyj stanu, jest to grzeszyć ciężko nie tylko przeciw zasadniczym dogmatom nauki historycznej, lecz także przeciwko interesom społeczności tej właśnie, jakiej się pragnie służyć. Historia nie jest ani aktem oskarżenia, ani mową obrończą, zadaniem historii jest odtwarzać, opowiadać, wyjaśniać i rozumieć. Tylko tak pojmująca swe zadania historia może pożytecznie służyć obecnym i przyszłym pokoleniom, bo tylko taka historia jest skodyfikowanym doświadczeniem narodu. Zadaniem jej jako wiedzy stosowanej jest dostarczać mierników i sprawdzianów ułatwiających ocenę dziejów bieżących chwili i poznanie ich ogólnego kierunku. Miernik jednakowoż może spełniać swe funkcje tylko w tym przypadku, gdy jest stały, to jest niezawisły od potrzeb lub dogodności chwili: miernik nie może być obliczony tylko na jakiś poszczególny przypadek lub na określony okres czasu. Cóż byśmy powiedzieli o metrze, który by wedle dogodności kupca mierzył raz sto centymentrów, a drug raz pięćdziesąt siedem? Taki metr nie byłby w ogóle żadną miarą, lecz co najwyżej narzędziem oszustwa.

JAKA HISTORIA BYĆ NIE POWINNA

Nauka historyczna może narodowi oddać rzetelne usługi tylko wtedy, jeżeli go zapoznaje z jego przeszłością taką, jaka była i nie wykracza poza to zadanie; nie wolno jej wkraczać w dziedzinę legendy, propagandy lub aktualnej polityki. I wzajemnie te ostatnie dziedziny ludzkiej działalności powinny we własnym i powszechnym interesie pozostawić badaniom historycznym pełną autonomię. Nie poniosą żadnej straty z powodu takiej powściągliwości. Poważnej literatury historycznej nikt prawie nie czyta, legenda i propaganda zaś dotrą w jakiejbądź formie do wszystkich rąk i mózgów. Tworzenie na poczekaniu legend, zwanych historycznymi, może zmusić historyków do zwrócenia na nie uwagi, a wtedy trudno im może będzie się utrzymać.

W HISTORII NIE MA MIEJSCA DLA — MODY

Cóż bowiem z historyczną prawdą wspólnego może mieć modne chwilowo przeciwstawianie polityki, tak zwanej jagiellońskiej, zahipnotyzowanej mirażem wschodnim, polityce piastowskiej, która rzekomo nie odwracała oczu od Bałtyku i Odry? Czy np. wyprawy kijowskie obu pierwszych koronowanych Bolesławów były wyrazem dążenia Piastów ku Odrze i Bałtykowi? Czy złamanie Krzyżaków pod Grunwaldem w XV wieku, a likwidacja państwa zakonnego w XVI wieku było dziełem królów z dynastii piastowskiej? Czy Długosz, cieszący się z odzyskania Pomorza i wyrażający nadzieję, że kiedyś Śląsk i Ziemia lubuska powrócą także do Korony, nie był wychowawcą synów Kazimierza Jagiellończyka? Czy sam ten król Kazimierz, gdy przeprowadzał wybór swego syna Władysława na tron czeski, zapatrzony był na wschód? Czy z chwilą tego wyboru Śląsk — rządzony bezpośrednio wciąż przez Piastów — nie dostał się pod zwierzchnictwo dynastii panującej nie tylko nad Polską, ale przez Czechy nad całą niemal Słowiańszczyzną zachodnią nie wyłączając Łużyc a przez Węgry i nad częścią południowej? Czy Jagiellonowie mogli zrobić wiele więcej dla zrealizowania maksymalnego zachodniego programu Polski i Słowiańszczyzny? Jeżeli ponoszą jaką „winę", to tę chyba, że wygaśli zanim dzieło ich zdołało stężeć i okrzepnąć. Trudno jest chyba uważać Jagiellonów za sprawców upadku Polski, który nastąpił z górą dwieście lat po wymarciu ich dynastii. Z równą słusznością moglibyśmy uważać, że Ludwik XIV był sprawcą kapitulacji Francji w roku 1940-ym.

Drugim takim modnym od kilkunastu miesięcy jest przeciwstawienie „przyłączenia" Pomorza Zachodniego przez Bolesława Krzywoustego „inwazji" ziem ruskich dokonanej przez szlachtę polską. Otóż przyłączenia Pomorza dokonał Bolesław Krzywousty w ten sposób, że na czele swej wiernej drużyny wtargnął na tę ziemię, spustoszył wsie, popalił grody a obrońców stawiających z niezwykłą zajadłością opór w pień wyciął; nie inaczej zresztą dokonało się „przyłączenie" do Polski Mazowsza przez Kazimierza Odnowiciela. Nie myślimy ani Odnowicielowi, ani Krzywoustemu robić najmniejszych z tego powodu zarzutów.

DROGĄ „POŁĄCZEŃ" POWSTAWAŁY NARODY

Żaden naród nie pojawił się na tym padole płaczu jako twór gotowy, wszystkie powstały dopiero w wyniku długich, mozolnych i krwawych procesów historycznych, drogą „połączenia" ogniem i mieczem żywiołów pokrewnych (jak było ze Słowianami mówiącymi narzeczami, które później nazwano polskimi), albo nawet i niepokrewnych, jak np. Celtowie, Sasi i Normanowie, z których stopu powstał naród angielski. Wyjątków odchylających się od tej reguły historia zna bardzo nie wiele, a wśród tych niewielu znajdziemy właśnie polską „inwazję" na Rusi. Była ona nie jedynym, ale rzadkim w dziejach) przykładem inwazji bezkrwawej, podobnie jak bezkrwawą była inwazja żywiołu niemieckiego na Wielkopolskę po wojnach szwedzkich z drugiej połowy XVII wieku. Bezkrwawości tej nie musi się koniecznie uważać za wypływ szczególnej łagodności polskiego charakteru narodowego, choć istotnie nie wydaje się, by Polacy XV i XVI wieku byli bardzo krwi żądni. Bezkrwawą była ta inwazja poprostu dlatego, że przelew krwi nie był bynajmniej potrzebny dla jej dokonania. Ziemie ruskie bowiem nie dostały się Polsce drogą podboju. Ruś halicka przypadła Kazimierzowi Wielkiemu (nie Polsce) drogą dynastycznej sukcesji, zgodnie z panującymi w XIV wieku wyobrażeniami prawnymi. Wojnę, którą o jej posiadanie trzeba było stoczyć, stoczył Kazimierz Wielki nie przeciw władcy tej dzielnicy, bo takiego nie było, ani przeciw narodowi ruskiemu, którego w myśl panujących podówczas poglądów był prawnym i przyrodzonym panem („légitime et naturel seigneur") — ale przeciw Tatarom. Wygnanie tych ostatnich zaś trudno poczytać za akt niesprawiedliwy w stosunku do Rusinów. Reszta zaś ziem ruskich weszła w kontakt państwowy z Polską dlatego, że królem polskim został Jagiełło, który był nie tylko władcą małej Litwy, ale i Wielkim Księciem Ruskim, jedynym podówczas Wielkim Księciem Ruskim, bo książęta moskiewscy dopiero w XV w. ten tytuł przybrali i to cokolwiek samozwańczo. Bezdzietna śmierć Władysława Warneńczyka i Olbrachta, tj. tych Jagiellonów, którzy będąc królami polskimi nie byli równocześnie wielkimi książętami litewskimi i ruskimi, sprawiła, że kontakt ziem ruskich z ziemiami polskiej Korony — mimo starań, które w tym kierunku ponawiały drugie i trzecie pokolenie Jagiellonów — nie dał się trwale rozluźnić. Wymieranie wspólnej dynastii łączyło uporczywie dzieloną puściznę jagiellońską.

TAK SZLIŚMY NA ZIEMIE RUSKIE...

Jeżeli chodzi o „zbieranie ziem ruskich", pomysł tej akcji scalenia zrodził się bynajmniej nie w Moskwie, ale w Wilnie. Giedymin i Olgierd zbierali ruskie ziemie na sto lat wcześniej, zanim którykolwiek z moskiewskich Wasylów i Iwanów o tym pomyślał. Nie ma słusznego, historycznego powodu, by uważać że wielki książę kijowski miał do tej czynności mniejsze prawo niż wielki książę moskiewski. Prawdą jest, że wcale znaczne ilości szlachty (i nie-szlachty) polskiej osiedliły się na ziemiach ruskich, nie bardzo zrozumiałym natomiast jest, dlaczego się to tym osiedleńcom zmarłym przed paruset laty dzisiaj za grzech poczyta. Pęd do kolonizowania ziem ościennych a nawet i bardzo dalekich ujawnia się u wszystkich silnych narodów, które posiadają w pewnej fazie swego dziejowego rozwoju nadmiar jednostek ubogich a przedsiębiorczych. Polacy osiedlający się w XVI wieku na ziemiach ruskich nie byli bardziej niegodziwi niż anglosasi osiedlający się na ziemiach amerykańskich, australijskich nowozelandzkich; nie byli też bardziej niegodziwi od Polaków osiedlających się w wieku XIX w Stanach Zjednoczonych lub Brazylii, o których to kolonistach polskich zwykło się nie mówić inaczej jak ze łzą rozrzewnienia w oku. Oczywiście, jest rzeczą śmieszną mówić, że osadnictwo polskie na Rusi miało charakter wypełnienia jakiejś misji (na czym miałaby polegać?) i miało przynosić zacofanym tubylcom dobrodziejstwo kultury. Nie jest znany dziejom przypadek, by osadnik jawił się na kolonizowanym terenie wyłącznie w tym zamiarze, aby każdego z napotkanych tubylców obdarzyć złotym zegarkiem; motywem emigracji ze stron rodzinnych i osiedlania się w innych jest zawsze i wyłącznie chęć poprawienia sobie bytu, lub żądza przygód. Polacy osiedlali się na Rusi „dla żyzności ziemi i haraców z Tatary". Nie trzeba być zanadto wymagającym nawet w stosunku do polskiej szlachty XVI wieku. Chęć polepszenia sobie bytu, która jest pobudką do emigracji i kolonizacji, nie jest jednak bynajmniej przeszkodą w wykonaniu na terenie nowego zasiedlenia rzetelnej kulturalnej pracy, która może być zaszczytem i dziejową zasługą. Zasług takich nie można odmówić nawet... niemieckim mieszczanom w Polsce, tym bardziej więc polskim osadnikom na Rusi. Od jednych i od drugich ludność miejscowa niejednej rzeczy pożytecznej się nauczyła.

(Ciąg dalszy na stronie 4-ej).

„Dom otwarty" w Teatrze. Miejskim Rodzina Ciuciumkiewiczów.

HISTORIA I RZECZYWISTOŚĆ

(Dokończenie ze strony 3-ej).

DLACZEGO POSZLIŚMY NA WSCHÓD A NIE NA ZACHÓD?

Ale dlaczego, jeżeli już koniecznie chcieli gdzieś emigrować, Polacy XVI wieku szli na wschód zamiast iść na zachód, gdzie byliby się tak przysłużyli nowej polskiej rzeczywistości? Dlatego, że w wieku XVI i XVII kierunek ruchów migracyjnych i ekspansji ludności europejskiego kontynentu szedł z zachodu na wschód a nie odwrotnie. Na wschód w pochodzie pokojowym dążyła emigracja z Niemiec rozdartych wewnętrzną waśnią i nie stanowiących poważnej faktycznej potęgi, ku wschodowi z zajadłą wytrwałością parła polityka królów francuskich, na wschód patrzyli władcy Austrii, na wschód patrzyli nawet królowie hiszpańscy, choć odkrycia Kolumba otworzyły im nieograniczone możliwości za Atlantykiem (aneksja Sycylii, Neapolu i Mediolanu). Nawet moskiewska ekspansja miała w wieku XVI powodzenie tylko na terenach Zawołża i Sybiru. Polacy XVI wieku uczestniczyli w tym ogólno-europejskim ruchu ludności w kierunku wschodnim; był to może pęd owczy, ale powszechny. Że zaś naród rolniczy szukał w swych wędrówkach przede wszystkim terenów nadających się do uprawy, rzecz to sama przez się zrozumiała. Ideałem rolnika bowiem jest orać ziemię a nie łapać śledzie.

COFANIE SIĘ ELEMENTU RUSKIEGO

Prawdą jest, że naród ruski w tym zetknięciu z osadnictwem polskim utracił w końcowym wyniku swą warstwę przewodnią, bo część szlachty ruskiej przyjęła mowę i narodowość polską. Ale, jeżeli chodzi o utratę warstwy przewodniej przez naród ukraiński, utracił on ją nie tylko ten jeden raz na rzecz Polski. W XVIII wieku utracił ją po raz drugi na rzecz Rosji. Jakieś dziwne ciążące nad narodem ruskim fatum sprawiało, że, ilekroć jakiś jego odłam wzbił się na wyżyny historycznego życia, tylekroć następował między tym odłamem a masą narodu rozdźwięk i rozdział. Fenomen ten ciekawy i niezaprzeczalny — należy jednak do zagadnień historii nie polskiej, lecz ruskiej. „Przewietrzona" historia polska zwykła zarzuty swe zwracać ku szlachcie nie tylko polskiej ale i ruskiej. Zarzuca jej mianowicie, że zgodziła się ona na unię z Koroną polską znęcona urokiem korzyści, jakie jej unia przynosiła. Zdaje się jednak, że nie zdarzyło się chyba nigdy w dziejach, by ktoś dobrowolnie zawarł jakąkolwiek prywatną czy publiczną umowę dlatego, że pragnął ponieść przez to stratę.

DLACZEGO POLSKA DZISIEJSZA MOŻE PROWADZIĆ POLITYKĘ PRAKTYCZNĄ

Ludzie XVI-go wieku zapatrywali się na rzeczy wedle swoich szesnastowiecznych przekonań i może czyniąc tak mieli słuszność, polityka bowiem jest to sztuka obracania się w aktualności, nie można jej prowadzić w perspektywie przyszłych stuleci. I dlatego że tak jest, może Polska prowadzić politykę praktyczną, dostosowaną do potrzeb obecnej rzeczywistości nie potrzebując bynajmniej naginać po temu i wypaczać całej przedrozbiorowej, czy choćby międzywojennej historii polskiej. Rozsądna polityka bowiem bierze zawsze za punkt wyjścia obecne, aktualne położenie narodu, jego stan liczebny, jego położenie geograficzne, jego zasoby gospodarcze lub ich brak i stosunek jego sił do siły innych czynników we współczesności działających. Znajomość dziejów minionych, ale takich, jakimi istotnie w przeszłości były, może przytem odpowiedzialnemu mężowi stanu oddać cenne usługi.

Usługi takie w obecnej rzeczywistości może oddać np. świadomość faktu, że kierunek wielkiej europejskiej migracji ludów, która od czasów Merowingów szła niemal bez przerwy z zachodu na wschód, zmienił się radykalnie mniej więcej od połowy XIX wieku. Od blisko stu lat bowiem człowiek europejski emigruje — tak jak przed półtora tysiącem lat za tzw. wielkiej wędrówki narodów — ze wschodu na zachód. Emigrował z Europy do Ameryki, ale i wewnątrz Europy emigrował już tylko ku zachodowi. Niemcy anektowali Alzację i Lotaryngię w roku 1871, ale i wewnątrz Niemiec wbrew wszelkim usiłowaniom rządów ludność przenosiła się ze wschodu na zachód, a fala robotników słowiańskich przesiąkała płynąc od wschodu społeczne doły Niemiec. „Drang nach Osten" ostatnich dziesięcioleci nie był wcale żywiołowym parciem narodu niemieckiego, urodził się w mózgach półinteligentów, którzy nie rozumiejąc wymowy dokonywujących się w ich oczach procesów, próbowali szukać wskazówki w „historii stosowanej". W Polsce międzywojennej zresztą ludność nie ciągnęła wcale chętnie na Wschodnie Kresy. Kierunek wewnętrznej migracji wskazywał zupełnie wyraźnie na północ i zachód ku Wielkopolsce, Pomorzu i Bałtykowi. Możemy więc spokojnie stan naszej wiedzy historycznej nieustannie pogłębiać i dotychczasowe poglądy sprawdzać, nie ze względu na chwilową koniunkturę polityczną, ale dlatego, że przeszłość Polski jest — zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej i socjalnej — wciąż jeszcze niedostatecznie znana i dlatego także, że w ciągu ostatnich stu pięćdziesięcu lat aż nazbyt często pisano dzieje Polski „dla służenia narodowi", to znaczy pod jakimś aktualno-politycznym kątem widzenia.

Jan Stanisław Łoś

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

TRZY ZDROWAŚKI

Jerzemu Eugeniuszowi Płomieńskiemu

Partyzanci zdziczeli, już z górą od dwu lat kryjąc się po lasach, tułając się po mszarach, odludziach i pustkowiach. Życie ich upływało na ciągłych utarczkach, zasadzkach, napadach i ucieczkach. Przelewali krew nieprzyjacielską, ale także nie żałowali swojej. Szczerby w ich szeregach zapełniali prawie wyłącznie ludzie ciężkiej pracy, głównie chłopi, doprowadzeni do rozpaczy uciskiem i prześladowaniem, co zwaliło się na nich najpierw od zachodu, a potem od wschodu. Inteligencji w ich oddziałach było bardzo niewiele, zaraz bowiem na początku wojny albo była zmuszona uciec z kraju albo została wyłapana i wywieziona w strony obce i dalekie. Oddziałami partyzanckimi dowodzili najczęściej wysłużeni podoficerowie, nieraz ludzie już całkiem niemłodzi, co imali się broni zazwyczaj z pobudek patriotycznych, ale także z nienasyconego upodobania do wojaczki i do jej niebezpiecznych przygód.

Pochodzili oni najczęściej z schłopionej szlachty zaściankowej, nie posiadali wykształcenia, ale byli dzielni, sprawie narodowej całym sercem oddani i nadzwyczaj uczciwi. Byli bardzo religijni, chociaż zdarzało się, że niezawsze pamiętali słowa pacierza. Doskonałej znajomości sztuki wojskowej nabyli nie z teorii i nie w szkołach oficerskich, lecz w twardej, długoletniej służbie pod chorągwiami, co były chorągwiami wrogów ich ojczyzny. W szeregach rychło wyróżniali się swą umiejętnością i swym męstwem; jakoż i wkrótce z podoficerów zostawali porucznikami, kapitanami i komendantami oddziałów.

Dwu takich kapitanów już od dłuższego czasu trzymało się opodal siebie ze swoimi oddziałami w rozlewisku wielkich rzek, gdzie lasy, bagna i mokradła zalegają szerokie połacie kraju. Znali się oni od dzieciństwa. Obaj służyli swego czasu w jednej i tej samej formacji nieprzyjacielskiej. Jako serdeczni przyjaciele przeszli następnie obaj do wojska narodowego. Ich przyjaźń skończyła się, gdy w swym koczowniczym życiu poznali równocześnie obaj płochą zalotnicę, w której rozkochał się na zabój. Odtąd przy Panu Lelussie nie było można wspominać nazwiska Pana Maciejki, nie wywołując wybuchu jego wściekłości. Jota w jotę to samo miało miejsce z Panem Maciejką. Znienawidzili się tak bardzo, iż zdawało się jakoby nawet po śmierci nie byli zdolni uleżeć blisko siebie w pokoju i w zgodzie. Było tym dziwniejsze, że za życia tego zbliżenia wcale nie unikali, może dlatego, iż każdy z nich czyhał na sposobność odwetu za swoją domniemaną krzywdę.

Kiedy zaś zostali komendantami, surowe poczucie obowiązku nie pozwalało im mieszać niesnasek osobistych do spraw służbowych. Łączyli się tedy nieraz do walki z nieprzyjacielem, bili go lub wymykali się razem z jego pazurów, ale zaraz potem rozchodzili się bez pożegnania z groźnie nasępionymi czołami i zapiekłą w sercach nienawiścią. Znali ją podwładni i nieraz z niej się natrząsali. Dziwna bowiem była ta ich nienawiść. Jakgdyby musieli podsycać ją co pewien czas swym widokiem, aby nie zamarła!...

Późną jesienią, kiedy już srogie dopiekały mrozy i śnieg sypał jak puch

z rozdartej pierzyny, uradzili oni przez posły uzupełnić swe braki w uzbrojeniu i amunicji, a przy tym zasilić się także żywnością w składach, które nieprzyjaciel posiadał w pobliskim miasteczku, opuszczonym zupełnie przez ludność cywilną. Częste i skrzętne wywiady dały poznać, że miasteczko ono było pełne nieprzyjacielskiego żołnierstwa wszelkiej broni i że składy, na które mieli chrapkę, pozostawały pod nadzwyczaj pilną strażą. Jednakowoż dowódcom partyzanckim nie odebrało to ducha. Z doświadczenia wiedzieli, że nieraz udawało się brać górę nad wiele liczniejszym nieprzyjacielem, gdy uderzenie odbywało się w sprzyjających okolicznościach, było należycie przygotowane i śmiało przeprowadzone. Właśnie w sprawie tych przygotowań okazało się rzeczą potrzebną, aby zwaśnieni kapitanowie porozumieli się ze sobą osobiście. Ale Pan Lelussa wściekł się, kiedy napomknęli mu o tym jego podwładni. Widocznie dnia tego giez jakiś go ukąsił lub rozdarły się utajone blizny jego duszy. Srodze złajał wszystkich, że chcieli go podstępnie pogodzić z jego przeciwnikiem. Aż zaperzył się z gniewu, wrzeszcząc:

— „Co? Ja miałbym gadać z tym cholerą, Maciejką? Bebechy się we mnie przewracają, gdy patrzę na jego gębę... Prędzej rak świśnie!"

Podwładni nie śmieli rozdrażniać go jeszcze więcej przypomnieniem, że przecież już nieraz gadał z tym cholerą, chociaż rak nie świstał. Dąsy były dąsami, a przygotowania musiały być szczegółowo omówione. Nie ochłonąwszy jeszcze ze swej pasji, uczynił Pan Lelussa rzecz najgorszą. Na posła swego do Pana Maciejki wybrał podoficera Bredę i dał mu pełnomocnictwa nader szerokie. Bardzo krzywili się na to inni. Breda nie miał śród nich dobrej sławy, gdyż jakimś niepojętym sposobem powrócił niedawno do oddziału z nieprzyjacielskiej niewoli. Ale odezwać się ponownie już nikt nie miał ani ochoty ani odwagi.

Źle się stało, albowiem starannie obmyślana wyprawa zupełnie się nie udała. Połączone oddziały zdradą zostały wciągnięte w zasadzkę i poniosły ogromne straty. Od zupełnego pogromu ocaliła je tylko dobra znajomość terenu, gdzie go zawsze mogli odszukać. Więcej zaprzątała ich myśli poniesiona klęska oraz groźny stan, w jakim znajdował się ich nieszczęsny dowodca. Pan Lelussa męczył się okropnie. Charczał i rzęził, rzygając krwią na tych, co go nieśli. Chwilami całkiem odchodził od przytomności. Już poczynali wątpić jego druhowie, czy uda się go żywcem donieść do chaty, co w dawniejszych latach bywała mieszkaniem gajowego, ale teraz stała nie zamieszkana i opustoszała.

Jednak przecież go donieśli do tego bezpiecznego miejsca.

W izbie, gdzie z dużego niegdyś pieca kuchennego pozostała przy samej ziemi tylko podmurówka, już buzował ożywczy ogień. Z wielką pieczołowitością ułożyli żołnierze swego komendanta na sienniku wprawdzie mocno dziurawym, lecz wypchanym świeżym miękkim sianem. Nędzny był to barłóg, cóż, kiedy w całym domostwie nie było ani łóżka ani żadnego innego sprzętu, na którym byłoby można urządzić posłanie. Siennik dla ciepła był przysunięty tak blisko do ogniska, że ranny mógł w nie włożyć rękę, gdyby przez nieuwagę nazbyt daleko wyciągnął w bok swe ramię.

Nie zdawał się jednak być zdolnym do tego ruchu. Wyglądał strasznie. Obciążone bezwładem, leżały zemdlone jego członki. Świszczący oddech wydobywał się z jego piersi. Jego twarz, do niedawna czerstwa, jak to bywa u zdrowych ludzi, dziwnie wyszczuplała, zmięła się i pozapadała. Ze skłaczonych wąsów obsuwały się mu tające od krwi czerwone soplo lodu. Mrużył oczy i łypał powiekami z niewymownym znużeniem.

Jego pobladłe, piętnem cierpienia naznaczone czoło poradliło się stopniowo zmarszczkami jak u człowieka, który ciężko pracuje myślą. Długo krwawa piana bulgotała mu w gardle, zanim wyszemrał z widocznym przerażeniem:

— „Zapomniałem... Na śmierć zapomniałem"...

Podwładni bardzo go lubili, więc aż dwu naraz pochyliło się nad nim, aby dosłyszeć wyraźniej szept jego mdłych warg.

— „Co Pan Kapitan zapomniał?" — sytał Bubrowicz, żołnierz srogi i jego ulubieniec.

— „Pacierza! Miałem odmówić trzy zdrowaśki, kiedy ostatni raz byłem u spowiedzi, już dawno temu... Będzie ze dwa lata. Wtedy nie odmówiłem, a teraz sobie przypomnieć nie mogę.

— „To pewno za pokutę! Pójdzie Pan Kapitan do piekła, jeżeli nie uczyni, co przykazał mu spowiednik" — zrzędnie zakrakał plutonowy Sobiegajłło, jak gdyby godziny rannego były już policzone.

— „Jezus, Maria! Tak to bywa, jeżeli codziennie nie odmawia się pacierza" — zaszemrali z wymówką inni.

Musiała ona zaboleć Pana Lelussę, bo drgnął i obruszył się.

— „A wy, czy odmawiacie? — zacharczał cierpko. — Co innego pójść do spowiedzi i przyjąć Komunię Św., gdy człowiekowi dokuczają grzechy. A co innego, jak stara baba, klepać dzień w dzień pacierze. Ja żołnierz! Miałem tyle na głowie-"...

— „Niechże Pan Kapitan spróbuje. Może przecież jakoś to pójdzie. My dopomożemy" — dodawał Bubrowicz ducha swemu przełożonemu.

Odpowiedziało przeciągłe rzężenie. Krwawa piana wystąpiła obficiej na usta rannego. Sobiegajłło wsunął mu dłoń pod plecy i podźwignął go nieco z barłogu. Bubrowicz złożył jego ręce jak składa się więdnące łodygi. Żołnierze pobożnie odkryli głowy.

— „Niech Pan Kapitan zaczyna" — poczęli zachęcać w obawie, iż może uświerknąć, nie dopełniwszy swej pokuty.

Nieprędko w ciszę, która nastąpiła, jęły sączyć się słowa urywane i bezdźwięczne.

— „Zdrowaś Maria... łaskś pełna... wysilał Pan Lelussa swą gasnącą pamięć. — Pan z Tobą... święć się... — jęło mu się mieszać i mylić. Święć się — powtórzył jeszcze raz ze ściśniętej gardzieli, zakrztusił się krwią czy łkaniem i umilkł. Twarz wykrzywiła mu się uczuciem bolesnej bezsilności. Z oczu, znieruchomiałych, łzy poczęły spływać powoli. Odbywał pokutę, surowszą od wszelkiej nakazanej pokuty. Obecni zerknęli po sobie niespokojnie. Głośno trzaskały w ogniu smolne polana.

— „Kto umie, niechaj mówi dalej" — odezwał się Sobiegajłło, widocznie niezbyt pewny pamięci zarówno swojej jak swych towarzyszy.

— „Nie stój jak dureń. Mów dalej". — Szeregowiec Woroniec zatrąbił w ucho swemu przyjacielowi Swistunowi. — Przecież ty umiesz, bo co wieczora mruczysz przed spaniem jak kot pacierze".

— „Umiem", — przygnębionym głosem odparł zagadnięty, „ale tylko po prostu, po tutejszemu, a to trzeba ładnie, po polsku..."

załamał. Zająknął się kilkakrotnie tym słowem, poczem z nieszczęśliwą miną powiódł oczyma po swych towarzyszach:

— „Pomóżno który!"

Ale nikt pary z ust nie puścił. Wszyscy stali niemi, zawstydzeni, ze spuszczonymi oczyma. Pan Lelussa, który słuchał pilnie, stęknął:

— Będę potępiony"...

— „To się wie" — warknął Sobiegajłło z nieubłaganą srogością człowieka, co w swej prawdomówności nie szczędzi nawet konających. Nie można być zbawionym, gdy się nie odpokutowało swych grzechów. Bubrowicz nazbyt miłował swego dowódcę, aby pozostawić go bez pomocy. Zawołał niemal z rozpaczą:

— „Radźcież coś! Przecież nie można opuścić w śmiertelnej potrzebie kogoś, co był dla nas jak ojciec..."

Sapiechowi, który dotychczas milczał, pełen troski i żalu, zabłysnęła myśl szczęśliwa.

— „Wiecie co?" — przemówił niepewnie, jakgdyby się lękał, że mogą go nie usłuchać. — Pobiegnę do oddziału Maciejki i poproszę, aby ktoś mądrzejszy napisał mi „Zdrowaśkę" na papierku. A może jakiego sanitariusza z opatrunkami także mi dadzą..."

Bubrowicz spojrzał na niego z uznaniem pełnym tkliwej wdzięczności.

— „Ty masz rozum, bracie" — rzekł. — Czemu żadnemu z nas nie przyszło to już dawno do głowy? Biegnijże i wracaj co prędzej. Może Kapitan zatrzyma w sobie duszę do rana, bo wcześniej trudno ci będzie wrócić. Ale sanitariusza tam nie znajdziesz. Ani się spodziewaj. Ostatni, którego mieli, poległ niedawno".

Wszystkim rozpogodziły się nieco markotne twarze. Lżej uczyniło się im na sercu.

— „Idźże, idź!" — poczęli napędzać swego towarzysza, co się rozglądał pytającymi oczyma.

Pośpiesznie porwał z kąta swój karabin i poprawiwszy granat, który miał za pasem, otworzył drzwi. Niby apokaliptyczny potwór tarzała się za nimi w borze zawierucha. Ruchem pływaka, co rzuca się w spiętrzoną od wichru topiel, skoczył przed siebie z wysokiego progu i przepadł w zamieci. Nie lękano się o niego, gdyż przyszedł na świat w puszczy i był w niej jak u siebie w domu. Raczej zakrzątnięto się troskliwiej przy Panu Lelussie, aby nie wyzionął ducha przed jego powrotem.

Bubrowicz z niezmierną pieczołowitością wziął jego głowę na swe kolana i do spieczonych ust jął mu sączyć kroplami gorącą herbatę. Sobiegajłło zmieniał, jak umiał, opatrunkową płachtę na jego okropnej ranie. Inni posiadali długim rzędem pod ścianami i jęli drzemać nie-

Woroniec w milczeniu przyznał mu słuszność. Pan Kapitan był Polakiem, więc nie przyjętoby w niebie jego modlitwy, gdyby nie była odmówiona po polsku.

— „Zacznij tylko pierwszy, może znajdzie się taki, co będzie umiał dokończyć" — miękko i śpiewnie zaszemrał w tłumie głos młody.

Czubryn zrozumiał, że wypada mu uczynić zadość temu żądaniu. Wyprostował swą utrudzeniem przygarbioną postać, chrząknął, poczem jak ktoś, co z wysiłkiem pokonywa kolejno coraz większe przeszkody, z pobożnym namaszczeniem jął wygłaszać modlitwę. Minął szczęśliwie „Pan z Tobą", lecz na „błogosławion" język mu się poplątał i głos pomni śmierci, co na ich Kapitana czyhała i niepamiętni własnego niebezpieczeństwa. Byli wygłodzeni, ale jeszcze więcej zmęczeni. Rzadko któremu zachciało się sięgnąć do torby po jadło. Częściej poprzestawali na łyku z polowej flaszy.

Leniwie wlokły się godziny. Pan Lelussa uciszył się, jakgdyby także zasnął. Bubrowicz uważnie nasłuchiwał jego chrapliwego oddechu. Sobiegajłło dokładał do ognia drew i osowiałymi oczyma patrzał w małe okienko, lecz nic w nim dostrzec nie mógł okrom białej plamy, co zdawała się zwiększać. Za oknem wciąż przybywało śniegu.

Po pewnym czasie biała plama zlała się całkowicie z otaczającą ciemnością.

Ognisko jęło pałać blado-żółtawym płomieniem, potem kopcić i zwolna przygasać. Przestały zajmować się ogniem świeżo do niego dokładane szczapy. W izbie zaległ nieznośny swąd i zaduch. Poczęło nie dostawać płucom powietrza. Pan Lelussa poruszył się i stęknął przeciągle.

Sobiegajło w mig zrozumiał co się święciło. Zerwał się ze swego miejsca i jął kolejno tarmosić śpiących żołnierzy.

— „Wstawajcie, chłopcy" — szeptał im do uszu — bo zdaje się, że przysypały nas śniegi".

Znali zimę w swych stronach, więc nie było to dla nich dziwotą. Najtrudniej było otworzyć drzwi, zawalone aż do ziemi porówni z dachem. Potem już z łatwością przekopywali się przez miałki i puszysty śnieg zaspy, co legła przed progiem. Ucieszyli się, gdy w zmrużone niedospaniem oczy zajrzało im blade światło dzienne. Zaś jeszcze więcej ucieszyły ich pohukiwania, co jęły dolatywać

z puszczy. Ktoś zapowiadał się okrzykami. Ktoś brodził ku nim... Swoi!

— „Hop, Hoop!" — ryknęli.

— „Hoop, hooop!" — dużo przeciąglej i słabiej odpowiedziały im głosy przepuszczone przez mgły mleczne i pyły śnieżne.

Wreszcie spod gałęzi, przygiętych ku ziemi nawałem śniegu, wychynęło kilka postaci. Zapadając się co krok, ciężko brnęły. Poznały nadchodzących bystre oczy leśnych strzelców, zawierucha bowiem całkiem ustała. Szedł ku nim Sapiech, szło jakichś dwu innych, całkiem nieznajomych i szedł Pan Maciejko, kapitan Maciejko we własnej osobie.

Wyglądał jak bałwan śniegowy. Podszedł bliżej, i zaraz zapytał:

— „Żyje?"..

— „Jeszcze żyje" — odparli, stając przed nim na baczność z łopatami w dłoniach.

Musiała go palić niecierpliwość wciąż bowiem wyprzedzał innych. Jednakowoż niezbyt oni pozostawali za nim. Chociaż odziani po chłopsku w sute baranie kożuchy i baranie czapy, zaciągnięte głęboko na uszy, wyglądali tak obco, że ciekawy Czubryn nieomieszkanie zagadnął Sapiecha, który szedł na ostatku, zmachany mozolną wędrówką w obie strony:

— „Kto oni?"

— „Oficerowie sprzymierzeni. Przylecieli samolotem, aby dowiedzieć się, jak my tu wojujemy i czego nam potrzeba. Można więc z nimi rozmówić się po polsku" — odparł zagadnięty z cicha.

U wejścia do chaty Pan Maciejko, pamiętny obowiązków gospodarza, dał przed sobą pierwszeństwo cudzoziemskim gościom. Współczucie odmalowało się na ich męskich dorodnych twarzach, gdy ujrzeli nędzny siennik i leżącego na nim nędzarza. Na jego wycieńczonej, oblanej potem twarzy śmierć już kładła swą upiorną rękę. Spod zaognionych powiek ledwie wyzierała szklana pustka jego oczu. W ogromnych skłaczonych wąsiskach gubiło się coraz słabsze rzężenie jego oddechu. Na derze, co go okrywała, krzywiły się w bezsilnej męce palce jego rąk posiniałych i jakby opuchłych. Konał...

Oficerowie cudzoziemscy usunęli się sprzed Pana Maciejki, który przystąpił do barłogu swego wroga i ukląkł przy nim nieśmiało, prawie z pokorą.

— „Czy poznajesz mnie, Stasiuk?" — zapytał jak się pyta biedne, chore dziecko.

Lekko drgnęły nozdrza Pana Lelussy. Nieco szerzej rozchyliły się jego powieki.

— „Dobrze zrobiłeś, że przyszedłeś, Kazbuk" — wyszeptał, a w jego oczach zamigotało mgnienie, jakby już tylko duchowego uśmiechu.

— „Trzebaby jakoś załatwić nasze niesnaski" — rzekł również przyciszonym głosem.

Ranny poruszył się na barłogu, oczyma dając do zrozumienia, że chciałby wyciągnąć do niego rękę. Ale nie dopisały mu siły. Zaczem tylko wyszemrał:

— „Ja już nie mam do ciebie żalu"...

Pan Maciejko pochylił się jeszcze niżej, jak ktoś, co nie chce, aby zaglądano w jego oblicze.

— „Stasiuk, ja także nie. Połóżmy krzyżyk na tym, co było".

— „Zapomnijmy, bracie".

Słowa ich brzmiały jak ślubowanie Sakramentu. Dokonywało się ich ostateczne pobratanie. W zatłoczonej izbie stała się cisza, jak w kościele podczas uroczystego obrzędu. Skruszyły się serca nawet cudzoziemskich przybyszów.

Pan Maciejko chrząknięciem pokrył swe wzruszenie.

— „Czy ciężko ci umierać?" — zapytał.

Zaledwie dostrzegalnie skinął ranny głową.

— „Ciężko, ale co począć, skoro trzeba dla ojczyzny"...

Na te słowa ponowną rzewnością roztajało twarde, żołnierskie serce Pana Maciejki. Szepnął:

— „Ja cię zawsze będę kochał".

— „Ja ciebie także z całej duszy mojej" — opieszałymi ustami wyszemrał konający.

Pan Maciejko zauważył, że druh jego dogorywa, zaczem rzekł mu na pocieszenie:

— „A nie trap się z powodu swej pokuty. To się zrobi"...

Przedśmiertna radość rozwidniła oblicze umierającego partyzanta.

— „Zrobisz to za mnie?"

— „Przecież ci powiedziałem... Ile to tego było?"

— „Tylko trzy zdrowaśki".

— „To się zrobi... To zaraz się zrobi..."

— Pan Maciejko powstał i drgającym głosem zawołał do obecnych:

— „Chłopcy, odprawimy pokutę za waszego Kapitana, który sam już jej odprawić nie może. Czapki z głów! Na kolana. I powtarzajcie za mną!..."

Wszyscy usłuchali rozkazu. Uklękli także cudzoziemcy. Powoli, donośnie, uroczyście odmówił trzykrotnie kapitan Maciejko „Zdrowaś, Maria".

Chóralnie powtarzali za nim wszyscy, nie wyłączając sprzymierzonych oficerów.

— „Bóg zapłać... Tyś dobry człowiek" pospołu z ostatnim tchnieniem wyzionęły stygnące usta.

Pan Maciejko ujął na pożegnanie druha za rękę. Ale już była bezwładna i chłodna. Jeno promień słońca, co zajrzał w tej chwili przez drobne szybki okienka, spłynął na nią i dał jej pozory życia w przyjacielskiej dłoni.

Pan Maciejko nie powstydził się ryknąć rozdzierającym płaczem. Starszy oficer cudzoziemski podszedł ku niemu i łagodnie położył dłoń na jego ramieniu.

— „Ludzie umierają, ale lud, co z takich jak wy ludzi się składa, nie umiera" — rzekł z głębokim wzruszeniem.

Stanisław Wyrzykowski

JÓZEF GOŁĄBEK

CHRISTO BOTEV

BUŁGARSKI POETA WOLNOŚCI (1848—1876)

Opuszczona, zdeptana i jęcząca przez pięć wieków w niewoli tureckiej Bułgaria budzi się w połowie ub. wieku z długiego snu i myśli o walce o niepodległość. Nie odrazu rodzi się ta idea, poprzedziły ją lata rozwoju uświadomienia narodowego, które zawsze sprowadza konieczność wyzwolenia.

PIERWSI BUDZICIELE NARODU BUŁGARSKIEGO

Dla idei niepodległości pracowało wielu bułgarskich patriotów, a niektórzy z nich oddali dla niej życie. Wśród tych działaczy dwaj pisarze: **Petko Slavejkov** i **Luben Karavetov** stworzyli epokę, na której naród bułgarski buduje świątynię wolności. Slavejkov wniknął w głąb duszy swego narodu, dotarł do jego źródeł, poznał jego niedolę, więc cierpiał z narodem i cieszył się jego radością, a z krynicy natchnienia poezji ludu czerpał motywy do swej twórczości. Dlatego on właśnie odtwarza najlepiej epokę przed uzyskaniem niezależności Bułgarii w roku 1878, podobnie jak znów późniejszą — walki o wolność — odtworzy przepięknie Ivan Vazov. Luben Karavetov, jakkolwiek i on w wielu swoich powieściach daje obraz współczesności, idzie jednak dalej znacznie, posuwa się mianowicie do rozwikłania możliwości zdobycia swobody i dla tej idei pracuje przez całe życie.

Ale najjaśniejszą gwiazdą na tym ponurym widnokręgu niewoli, najbardziej świecącym ogniskiem, około którego grzały się serca bohaterów narodowych i wogóle całego narodu jest — **Christo Botev.** I słusznie — w nim bowiem, w jego duszy skupiły się najszlachetniejsze porywy, wszystkie najwznoślejsze wysiłki, wszystkie trudy i znoje wygnanych z Ojczyzny emigrantów, wszystkie męki uciśnionego narodu, marzenia i sny o wolności, które ten największy poeta bułgarski z tej epoki i bohater narodowy przypłacił młodym życiem na polu walki.

KILKA DAT Z ŻYCIA BOTEVA

Przyszedł Botev na świat w roku 1848, w roku rewolucyj i wstrząsów w całej niemal Europie, niby na znak, że zrodzony z rewolucji ludów poświęci życie swoje dla tej idei o prawa uciśnionego narodu. Kształcił się najpierw w Kaloferze, miasteczku rodzinnym, a w piętnastym roku życia wysyła go ojciec na dalsze studia do Odessy, gdzie dochodziły odgłosy powstania styczniowego i gdzie też ukrywali się niektórzy jego uczestnicy. Tu też Botev zetknął się z rosyjskimi rewolucjonistami, oraz wszedł w bliższe stosunki z Polakami i od nich nauczył się gorącej miłości Ojczyzny i poświęcania się dla sprawy narodowej. Hasła te tak dalece zaprzątnęły jego umysł i owładnęły jego sercem, że tylko dwa lata przebywał w szkole, a w trzecim roku pobytu w Odessie wszystek czas poświęca na obcowanie z rewolucjonistami i wtedy zapewne rodzą się w jego duszy pierwsze plany walki z wrogiem.

Burzliwy i niezależny umysł nie mógł i nie chciał pogodzić się z istniejącym porządkiem rzeczy. I dlatego właśnie w roku 1867 udaje się do miasteczka Sliven, gdzie wtedy miał główną kwaterę nasz powieściopisarz i romantyk czynu, Michał Czajkowski, Sadyk — pasza, którego legiony budziły i podnosiły ducha całej Bułgarii. Widzimy z tego, że Botev wybiera najprostszą drogę do urzeczywistnienia swych zamierzeń — drogę służby wojskowej. Znamienne to, że młody marzyciel wierzy, że legiony polskie podniosą oręż w walce o wolność Bułgarii i to niewątpliwie było powodem przybycia do obozu Czajkowskiego.

Poeta Bułgarski doznaje serdecznego przyjęcia ze strony autora „Wernyhory", ale z powodu różnicy zdań następuje niebawem rozstanie i Botev powraca do miasta rodzinnego. W każdym jednak razie widok polskich oddziałów, a i bułgarskich, bo w legionie Czajkowskiego była także konnica bułgarska, dodał pociechę ducha, natchnął go wiarą, że może utworzy się osobne wojsko bułgarskie, wreszcie zaznajomił się Botev ze sztuką organizowania wojska.

WŚRÓD EMIGRANTÓW BUŁGARSKICH

Jednakże po powrocie do gniazda rodzinnego, do środowiska, w którym z rezygnacją znoszono ucisk, gwałt i tyranię wroga, nie mógł pędzić życia bezczynnie, w skrępowaniu, i nie zważając na niebezpieczeństwo, wystąpił raz z tak gwałtowną mową, że przerażony ojciec postarał się jak najszybciej o pieniądze i wysłał syna znów na dalsze studia do Rosji. Lecz młody Botev ruszył całkiem innym szlakiem, powędrował mianowicie do Rumunii, gdzie w owym czasie przebywali wszyscy najcelniejsi patrioci bułgarscy i gdzie pracowano nad przygotowaniem powstania. W środowisku tym, nieskrępowanym uciskiem i przemocą, mógł Botev łatwiej rozpocząć pracę narodową. Tutaj nie zniechęcają go żadne przeszkody i trudy, nie może go złamać nędza, której niejednokrotnie zaznał; nie widzi, porwany młodzieńczym zapałem przeszkód ani trudności; bo świeci mu jeden cel, jedno marzenie: — powrót na rodzinny Bałkan na czele zbrojnego oddziału jako „hajdutin"*).

Ale zanim to nastąpiło, pracuje Botev nad przygotowaniem gruntu do działania, wydaje więc różne czasopisma, w których w szeregu artykułów wypowiada swe myśli o sprawie narodowej; prócz tego działa w komitetach powstańczych i organizuje zbrojny oddział.

POWRÓT DO KRAJU NA CZELE ZBROJNEGO ODDZIAŁU

W roku 1876, gdy przyszło do wybuchu powstania w prowincji „Sredna gora", wyrusza Botev ze zorganizowanym oddziałem powstańczym („czetą") z Rumunii i dnia 17 maja wkracza do Bułgarii. Po trzydniowym pochodzie dochodzi do gór Vraczanskich i tutaj, otoczony przez wojska nieprzyjacielskie, ginie 20 maja 1876 roku (starego stylu). Ciała jego nie odnaleziono.

BOTEV JAKO INDYWIDUALNOŚĆ

Botev — to indywidualność wyjątkowa. Bije od niego duchowa moc i pragnienie swobody. Nie wie on, co niebezpieczeństwo, nie uznaje lęku i ma pogardę śmierci. Dlatego też nie zna żadnych przeszkód, nie łamie się nigdy i nie rezygnuje — z nieugiętą wolą zmierza do celu, bo ma wiarę w jego ziszczenie. Nie uznaje niewoli, bo nosi w sobie świadomość i poczucie absolutnej wolności, indywidualnej i zbiorowej. Ta swoboda osobista nie zamienia się w egoizm, lecz doprowadza go do altruizmu, do wchłonięcia w siebie cierpienia całego narodu.

I słusznie rzec można o tym pisarzu to, co mówi mickiewiczowski Konrad o sobie: „Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna to jedno;
Nazywam się Milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca, wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bóle swego płodu."

Jednakże pojęcia wolności nie może ograniczyć tylko do rozważań i teoretycznych dociekań. Botev zmierza z całą stanowczością do jej urzeczywistnienia, podobnie jak Karavetov, a urzeczywistnienie to widzi tylko w powstaniu narodu bułgarskiego.

POETA — ARTYSTA

Właśnie w jego poetyckich utworach najsilniej uwydatnia się to poczucie wolności. Niezależnie od tego Botev jako artysta posiada jedną wielką właściwość — mianowicie głębokie odczucie przyrody, usunięcie granicy między nią a człowiekiem, a w związku z tym pojmowanie przyrody jako odbicia duchowego świata jednostki. I właśnie w tym mistycznym ujmowaniu zagadnienia twórczości tkwi siła uroku jego poezji. To ujmowanie doprowadza go do zjednoczenia potęgi przyrody z potęgą jednostki.

KIERUNKI DZIAŁALNOŚCI PISARSKIEJ

Działalność literacka Boteva poszła w dwóch kierunkach: był on publicystą i poetą. Przeszło dziesięć lat, rzucany losem po wszystkich miasteczkach Rumunii i Besarabii, pracuje dla tej idei, która mu przyświecała przez całe życie. Spotyka się tutaj z bułgarskmi działaczami i polskimi emigrantami, działa razem z nimi, wzywa ziomków do najszybszej walki, budzi ducha, zapala gorącymi przemówieniami, organizuje „czety" (siłę zbrojną), przejmuje się tym, co się dzieje u najbliższych sąsiadów, a w końcu dla uświadomienia ogółu rozpoczyna pracę redaktorską. Wydawał kolejno czasopisma: „Duma na balgarskite emigranty", „Zname" i „Budilnik". W artykułach swoich porusza autor myśli polityczne i społeczne. Duszą jego owładnęła jedna wielka myśl — o wolnej Bułgarii. Ta jedna myśl panuje we wszystkich jego artykułach. Widzi on, jak strasznie cierpi jego naród pod obcym jarzmem i pisze tak:

„Naród nasz z dnia na dzień ubożeje i paraliżuje się tak moralnie jak i fizycznie, ponieważ władza, którą cierpi nad sobą, jest oparta na przemocy, grabieży i gwałcie, na zabójstwach i na różnych widocznych przewrotnościach; nie istnieją u nas szkoły, nie ma nauki ani wykształcenia, ponieważ to wszystko jest zakazanym owocem w Turcji; my nie możemy mieć korzyści ani z darów przyrody ani z naszego trudu, ani z naszych talentów i zdolności, ponieważ nad nami wisi jatagan i uciskają nas próżniacy, którzy pożerają wszystko, co wykona zamiłowana w trudach nasza ręka; wreszcie jesteśmy niewolnikami, jesteśmy bydłem, nie możemy nawet powiedzieć, że nawet i głowy, które nosimy na karkach, są nasze".

Obraz, jaki przedstawia tutaj Botev, jest najzupełniej zgodny z rzeczywistością, wiemy przecież, że podbici chrześcijanie nosili u Turków oficjalną nazwę bydła — r a i.

Ale dalej jeszcze przesuwa poeta przed nami inny obraz, tak bardzo zbliżony do tych, jakie znajdujemy w „III cz. Dziadów".

„Tutaj matka rozłącza się z synem, żona z mężem, siostra z bratem, dzieci drobne z rodzicami i każdy myślał: żywy podział, żywy podział; żegnaj synku, żegnaj ojczulku, żegnaj matko — stryju, wuju żegnajcie... Inne głosy smutno, ale twardo odpowiadają: wy żegnajcie, niech was Bóg prowadzi... i łańcuchy zabrzęczały wśród tłumu...

Wkrótce potem ucichnie krzyk i jęk, lud siada naokoło na ziemi i wtedy mogłem poznać, co było powodem niedoli tych dziesięciu ludzi, skrępowanych łańcuchami, wyczerpanych walką i trudem, którzy zasiedli około pożegnalnego, narodowego stołu i smutno i ponuro obracali oczy do ludu, który wylewał już łzy bez słowa, gorące łzy i głucho, lecz głęboko wzdychał. Biesiada i wino ożywiło „przestępców", rozpoczyna się rozmowa, pytania, opłakiwanie i wszystko jest żałosne, ponure i smutne... A oto żandarmi — spoglądają groźnie i pędzą związanych... I znów lud zawoła, znów zapłaczą kobiety i dzieci, znów łzy, znów uściski, pożegnania. I pożegnania żałosne, święte, gorące.

I cóż to byli za zbrodniarze, zakuci niby zwierzęta w łańcuchy? Och, jedno ich spojrzenie, jedno ich słowo i to już wystarczało. Przyjaciele moi, druhowie nasi, bracia".

Taki więc los tych, którzy dążą do wolności Ojczyzny i pragną jej wyzwolenia. Kajdany, więzienie, niedola. Lecz nie ma innej drogi, — zdaniem Boteva — gdy się pragnie mieć wolność. Sam naród może sobie wywalczyć wolność, bo poeta nie wierzy w pomoc tych narodów, które się spod panowania tureckiego wyzwoliły, trzeba mieć wiarę tylko we własne siły.

Ale Botev nie stoi na stanowisku, że tylko jednostki lub jedna warstwa powołana jest do walczenia o wolność, pragnieniem jego jest skupienie sił całego narodu. — Pisze więc Botev w jednym miejscu:

„Polak kocha i przelewa krew za wszystko, co jest polskie, co mówi jego językiem, czy to magnat, czy szlachcic, czy jezuita — Bułgar natomiast jaką niechęć czuje do Turka, taką (może nawet większą, jak słychać) czuje i do c z o r b a d ż i i*) i do duchowieństwa..."

REWOLUCJA DROGĄ DO WOLNOŚCI

Tak zatem, jak widzimy, z każdego słowa poety przeziera ból patriotyczny i poczucie niewoli narodu. Wchłonąwszy w siebie ideologię ówczesnych rewolucjonistów rosyjskich, widzi jedyną drogę wyzwolenia narodu w rewolucji. Pragnieniem jego jest to, by naród rządził się sam, nie doznawał ucisku ze strony innych narodów i posiadał własną konstytucję. Botev uważa się powszechnie za socjalistę, lecz jego socjalizm posiadał jedną rzadką właściwość: rozróżniał on nie warstwy społeczne, ale narody uciskające i uciskane. Dlatego też ten socjalizm łatwo daje się zidentyfikować z pojęciem narodowości — przy czym myśl jego snuje się przede wszystkim około uciskającej Turcji i uciskanej Bułgarii. Wierzy on, że Ojczyzna jego musi w walce o wolność odnieść zwycięstwo, bo „Turcja nie ma życia, nie ma przyszłości, ona jest trupem na łożu śmiertelnym".

Poetycka twórczość Boteva zamyka się zaledwie w dwudziestu wierszach liryczno-

*) Hajduk, t.j. bojownik o wolność. (Przyp. Red.).

*) Człowiek lepiej sytuowany (Przyp. Red.).

CHRISTO BOTEV

Hadżi Dymitr

On żyje, żyje! Tam u Bałkanu
Leży w krwi własnej, z śmiercią w zapasie
Junak z głęboką na piersi raną,
W młodości kwiecie i męskiej krasie.

Dwusieczna szabla w dłoni jaśnieje,
U boku strzelba połyska pusta,
Mgła wzrok spowija, głowa się chwieje,
Niebo i ziemię kłną blade usta.

I leży junak, a hen w błękicie
Stanęło słońce i żarko piecze,
Żniwiarka śpiewa kędyś po życie
I krew młodzieńcza gorącej ciecze.

Żniwo jest teraz. Hej, niewolnice,
Śpiewajcie pieśni smutne! Ty, słońce,
Oblewaj żarem urwisk ziemice!
Niech zginie junak... Lecz zmilknij, serce!

Bo komu w boju śni się swoboda,
Ten żyw, choć padnie, jego żałują
Ziemia i niebo, zwierz i przyroda
I piewcy o nim nić pieśni snują.

Orlica skrzydłem słoni mu czoło
I wilk mu liże litośnie rany,
A ptak junacki — sokół w około
Nad jego ciałem krąży stroskany.

Wieczór nastaje — księżyc zaświeci,
Gwiazdy posieją niebieskie niwy,
Puszcza zaszumi i wiatr przyleci,
Zanuci pieśń swą Bałkan sędziwy.

Rusałki leśne w szacie srebrzystej
Śpiewają pieśni cudne, radosne,
Cicho po trawie biegną soczystej,
Aż przy junaku siądą miłosne.

Jedna mu ranę wiąże ziołami,
Druga mu wodę na czoło leje,
Trzecia go w usta dotknie ustami,
On na nią patrzy, ona się śmieje...!

„Ach, gdzie Karadża? Ja wiedzieć muszę.
Jaki los spotkał moją drużynę!..
Mów, siostro! Potem zabieraj mi duszę —
Pozwól, rusałko, niech tutaj zginę!"

Zakłaszczą w dłonie, w pół się uścisną
I na niebiosa z pieśniami gnają.
Lecą i lecą — aż zorze błysną...
Ono Karadży ducha szukają.

Lecz już się zmierzcha! Hen, u Bałkanu
Junak wciąż leży i krew mu ciecze,
Druh wilk litośnie liże mu ranę,
A złote słońce piecze i — piecze!

z bułgarskiego
przełożył Zdzisław Jerzy Kempf

*) Z papierów po śp. Dr Józefie Gołąbku, docencie literatur słowiańskich w Uniwersytecie Warszawskim. Śp. J. Gołąbek zginął w Warszawie w roku 1939. (Przyp. Red.)

nych lub elegiach. Podobnie jak w artykułach politycznych, tak i w utworach wierszowanych tego poety panuje ten sam duch — patriotyczny. Wiersze jego są wyrazem najbardziej bezpośredniego natchnienia, wywołanego uciskiem narodu.

BUŁGARSKI KONRAD

Poeta, oddając w ofierze życie narodowi, nie mógł mieć własnych spraw, a raczej odrzucał je od siebie. Bułgarski Konrad, cierpiący za miliony, raz tylko wyraził uczucie osobistej miłości w wierszu: „Do mojej pierwszej kochanki". Wiersz ten, tak piękny jak Słowackiego „Rozłączenie", jest najpiękniejszym lirykiem miłosnym w poezji bułgarskiej, ze względu na głębokość uczucia i szeroki polot wyobraźni, a zarazem najszczytniejszym wyrazem rezygnacji ze szczęścia osobistego. Poeta pragnie, by kochanka zapomniała o miłości, bo biedacy jęczą w niewoli, a żałosny ich śpiew roznosi się po borach: wzywa ją więc, by razem z nim taką samą pieśń niedoli zaśpiewała.

Obok miłości do kochanki pierwszych młodzieńczych snów i marzeń władnie w sercu poety jeszcze inna miłość — do matki, wyrażona w wierszu: „Do matki". I tu surowy i pełen grozy poeta, rzucający błyskawice swych ognistych oczu zdobywa się na najdelikatniejszy wyraz i ton, gdy przemawia w prostych słowach:

„O matko, pozostań przy mnie,
Nuże mnie, matko, przygarnij..."

Skarży się dalej, że marzył wiele o szczęściu i sławie, lecz marzenia one przysły i przeszły jako sny niepowrotne. Pozostaje mu tylko jedno: paść młodym sercem w objęcia matki i wypłakać na jej piersi swój ból i rozczarowanie.

Lecz ani miłość do kochanki, ani do matki nie może opanować wszystkich władz duszy poety, bo „Skrwawił on na własnej piersi piętno" i zrezygnował z miłości osobistej. W przeczuciu bliskiej śmierci powiada, że tak matce jak i kochance pozostaje jedno — kiedy w rodzinnej wiosce młodzieńcy i dziewczęta pójdą w pląsy i zaśpiewają bułgarskie „c h o r o":

„Ty, matko, spojrzysz ze smutkiem
Na to wesołe c h o r o
I gdy się spotkasz spojrzeniem
Z moją przepiękną kochanką,
Głęboko westchną dwa serca,
Dwa serca dla mnie najmilsze,
Jej serce, matko, i twoje.
I wtedy dwie łzy upadną
Na stare piersi i młode".

To więc będzie pociechą dla najdroższych mu osób, serce zaś poety jest przepełnione innym uczuciem — miłości Ojczyzny. Na wygnaniu żyje on oddechem bułgarskiej ziemi, melodią pieśni swego ludu, której rytmem wyrażał swoje uczucia i pragnienia.

Dla Boteva bożyszczem, w którym skupia się ideał walki o wolność — to bułgarski h a j d u k, najpiękniejsze dziecko, jakie wydała Bułgarka, obrońca biednych przed uciskiem wroga, bohater, który rzuca szczęście rodzinne i ognisko domowe i ucieka na odludzie, ukrywa się w stromym Bałkanie i razem ze swą odważną i gardzącą życiem drużyną napada na miasta i wsie, pali i obraca w perzynę posiadłości tureckie, albowiem wie, że w ten sposób przysłuży się swemu narodowi. Zachwyt dla wolności i odwagi hajduckiej wyraża poeta w czterech wierszach: **„Hajduti", „Na prosztavane", „Pristanala"** i **„Pesen na Chadżi Dimitra".** W wierszu **„Na prosztavane"** marzy poeta o szczęściu, jakie go może spotkać, gdy będzie wracał do Ojczyzny, jako „hajdutin". Przybędzie on do Ojczyzny z bajrakiem-sztandarem w ręce, a pod chorągwią zgromadzą się liczni junacy w wojskowych mundurach, zdobnych złotym lwem, herbem Bułgarii, z karabinami na ramionach i szablami przy boku. Wtedy kochanka i matka i wszyscy Bułgarzy zrywać będą kwiaty, wić z nich będą wieńce i zdobić nimi głowy i karabiny młodych wojowników. On sam może odniesie zwycięstwo, a może zginie we wczesnej młodości. Ale i tak będzie miał nagrodę, bo naród powie wówczas, że zginął za prawdę i wolność.

APOTEOZA MYŚLI I HYMN PATRIOTYZMU

Lecz najwyższą apoteozą myśli o czynie wyzwolenia Ojczyzny, najwyższym hymnem patriotyzmu i wydealizowaniem hajduka, jest, „Chadżi Dimitr". Ale to nie wszystko — w tym właśnie wierszu, powtarzanym dotychczas z zapałem przez wszystkie usta bułgarskie, zjednoczyły się wszystkie pierwiastki poetyckiej twórczości Boteva, a więc marzenie o niepodległości i obraz niewoli, poezja gór rodzinnych z całym pięknem przyrody i pogarda śmierci, gdyż ona przynosi sławę u całego narodu.

Niby głos trąby rozbrzmiewają pierwsze słowa wiersza, gdy poeta oznajmia, że hajduk Dymitr jeszcze żyje, choć tonie w krwi z powodu ciężkiej rany na piersiach.

Cóż z tego, że bohater zemrze wśród rodzinnych gór, jeżeli będzie wsławiony! — Nadchodzi chwila konania, a wówczas cała przyroda współczuje z junakiem. Orlica skrzydłem szerokim zasłania go od słońca, wilk mu łagodnie liże ranę, a ulatujący nad nim sokół „junaszka ptica", boleje nad jego losem.

Ale w lutni Boteva rozbrzmiewa nie tylko hymn uwielbienia, triumfu, zachwytu i wiary w niezniszczalność idei o niepodległość; marzeniu poety przeczy twarda rzeczywistość, widzi bowiem dokoła ciemną masę bez czucia, zobojętniałą na sprawy narodu, spodlałą i niewolną. Żali się więc, że ciężko mu żyć wśród głupców nierozumnych, gdy dusza jego płonie żarem, a serce jego ciężko zranione...

ZNACZENIE BOTEVA DLA BUŁGARÓW

Twórczość Boteva ma ogromne znaczenie — żaden z poetów bułgarskich, ani nawet Ivan Vazov ani Penczo Slavejkov, miał takiego wpływu na społeczeństwo. Nikt w Bułgarii nie umiał przemawiać z takim żarem młodzieńczym o wolności i prawach do bytu swego narodu, nikt nie potrafił wyrazić z taką siłą gniewu i oburzenia na obojętność i spodlenie.

To też zdobył sobie poeta tak wielką popularność, jak żaden inny w Bułgarii. Nie rzucał on blasków nadziemskich przed oczy słuchacza, nie wprowadzał go w świat niepochwytnej fantazji, lecz mówił mu o jego sprawach najbliższych, o jego ideałach, a mówił mu językiem czarującym, jakiego do jego czasów literatura bułgarska nie znała. Ale nie tu koniec jego znaczenia — w jego poezji odbija się to wszystko, co czuła w czasach niewoli dusza bułgarska, więc w tym tkwi jego wartość jako poety narodowego, umiejącego objąć najgłębszą tajnię ducha zbiorowego.

Ważniejsze w życiu poety jest to, że jego marzenia i myśli o wyzwoleniu Ojczyzny nie były jeno pustym dźwiękiem lutnisty — on je chciał w czyn wprowadzić, urzeczywistnić i dlatego wdziera się do Ojczyzny, gdzie ginie śmiercią bohatera.

Pieśnią wskazywał poeta cele swym ziomkom, mieczem chciał je wprowadzić w życie.

Ze względu na poezję zestawia się niejednokrotnie Boteva z Byronem, Lermontowem, Petőfim, a więc z tymi poetami, u których uwidocznił się prometeizm. Los bułgarskiego poety ma coś wspólnego z losem tych poetów wskutek pełnej, absolutnej harmonii między osobistością a twórczością między rzeczywistością a poezją. Życie tych trzech poetów, jak i Boteva, gaśnie szybko, z oślepiającym blaskiem pochodni, z przelotnym blaskiem meteoru.

Łączy się też poeta bułgarski z inną jeszcze trójcą — ze wspomnianym poetą węgierskim, Petőfim, niemieckim Teodorem Körnerem i polskim Mieczysławem Romanowskim. Wszyscy oni śpiewali podniosłą pieśń o Ojczyźnie i wszyscy oddali młode życie za świętą sprawę wolności Ojczyzny.

Józef Gołąbek

Książka o Norwidzie nieznanym

Norwid przeżywa niewątpliwie swój renesans. Po studiach historyczno - literackich A. Krechowieckiego, C. Jellenty, K. Bereżyńskiego, Makowieckiego, Kołaczkowskiego, Latawca, Falkowskiego i Piechala oraz wielu drobniejszych pracach i artykułach przychodzi obecnie książka **Hanny Malewskiej** „Żniwo na sierpie".

Jakiż typ przedstawia „Żniwo na sierpie"? Sama Autorka ma co do tego wątpliwości. W tytule nazwała swą książkę „powieścią", w posłowiu zaś określiła ją jako „opowieść". Istotnie to drugie określenie jest trafniejsze, bo „Żniwo na sierpie" powieścią w ścisłym znaczeniu nie jest. Przede wszystkim zawodzi fabuła, pozbawiona w przeważnej części wzajemnego, wewnętrznego związku sytuacji i elementu walki. Stąd płynie brak dynamiki akcji, koniecznej w powieści, a miejsce ciągu zdarzeń zajmują opisy, refleksja i charakterystyka postaci — elementy statyczne. Ze względu więc na owo osłabienie fabuły powieść ma formę atematyczną (według terminologii Tomaszewskiego), zbliżając się swym charakterem do biografii i częściowo pamiętnika.

Chcąc dotrzeć do zamysłu twórczego autorki, bez którego zrozumienia nie może być rzetelnej oceny, musimy przytoczyć słowa Malewskiej. Powiada ona, że książka o Norwidzie jest rekonstrukcją, zbeletryzowanym jego życiorysem. Ale z dalszych wynurzeń autorki widać, że chodziło jej „o rysy wyraziste osobowości" Norwida. Nasuwa się teraz pytanie, czy chodziło tylko o osobowość człowieka, czy także „poety - artysty - plastyka i myśliciela". Przy czytaniu książki odnosi się jednak wrażenie, że zamysł Malewskiej był śmielszy: pokusiła się i o obraz osobowości twórcy.

Ale do wykonania tego ambitnego i godnego szacunku zamiaru zabrakło jej sił, choć włożyła wiele trudu i ukochania Norwida, dzięki czemu jej opowieść nie stanowi tylko modnej „vie romancée". W trzech częściach, niby w Gustawowych trzech godzinach: miłości, rozpaczy i przestrogi, a w dwudziestu dwóch rozdziałach bardzo nierównych co do objętości zamknęła Malewska 62 lata życia Norwida. Jeżeli porównałem tutaj kompozycję „Żniwa na sierpie" do „Dziadów" cz. IV, to dlatego, że owe trzy godziny stanowią obsesję dla autorki, a zarazem narzucają formę nie epicką, lecz liryczną. Są nawet i pewne bardzo bliskie analogie treściowe. Pożegnanie Głuchów przez poetę dziwnie przypomina przepiękną elegię Mickiewicza: „Niedawno odwiedzałem dom niebożczki matki..." Że zbieżność ta nie jest przypadkowa, dowodzi w dalszym ciągu cytat z „Dziadów" cz. IV. **Liryzm wynika z postawy autorki wobec** bohatera. Nie obserwuje go ona okiem realisty, lecz jakby słucha jego spowiedzi. Stąd też dialogi rzadko zjawiają się na kartach książki i nie tętnią życiem. Zamiast potoczystego nurtu opowiadania przepływa przez karty opowieści refleksja, spowita w „fałdzistą szatę" pięknego stylu, dziwnie przypominającego sposób mówienia Norwida. Kształtowanie wizji artystycznej za pośrednictwem refleksji zaciera heroizm poety, nadaje mu Hiobowe oblicze. A przecież Norwid nie cierpiał biernie, on walczył prawie do ostatnich chwil życia. Walka była dla niego dźwignią i sprawdzianem postępu kultury i postępu człowieczeństwa. Świadczą dobitnie o tym listy poety „sztukmistrza", niestety, nie wyzyskane dostatecznie przez autorkę.

W opowieści Malewskiej nie widać żywego Norwida, tego orła, co rwał się do podniebnego lotu na Monsalwat wszechsztuki człowieczej, tego apostoła Prawdy, Piękna i Pracy, Prometeusza sztuki społecznej, nauczyciela i wychowawcy narodu, najwyższego poety, co tworzył nowy wyraz artystyczny bez oglądania się na olbrzymów-Wieszczów. Nie widać Norwida uczonego, społecznika i polityka, co pragnie Polski Żywej, Ludowej, Piastowskiej. Nie widać oNrwida - Księcia Niezłomnego, co nie dał się wytrącić z obranej we wczesnej młodości drogi i przetrwał wbrew tendencjom epoki jako „żołnierz na czasów szyldwachu" walczący „słowem-czynem" i „czynem-sztuką" o „Polskę przemienionych kołodziejów" aż po ostatnie dni życia. Nie widać Norwida-Gladiatora, co, konając w bezsilności wobec losu na arenie kapitalistyczno-burżuazyjnej epoki, mówił „Morituri te salutant Veritas". Nie widać Norwida szamocącego się w tragicznej walce z polską rzeczywistością, której żywą plazmą był człowiek zbiorowy: „Bałwan i basałyk", „arystokracja — salon francuski", „demokracja — karczma flamandzka".

Malewska widzi Norwida samotnika obciążonego romantyczną chorobą, żyjącego ciągle wspomnieniem mazowieckich Głuchów ;obcuje z romantycznym Werterem czy Gustawem, który nie potrafi wyzwolić się z czaru Marii Kalergis, snobizującej się „wielkiej damy". Widzi Norwida melancholika z rozdartą duszą, z piętnem ironii w błękitnych oczach, ironii, pozostałej po zawiedzionej miłości do pani Kalergis-Nesselrode. Ale nie dostrzega psychicznego urazu w formie ambiwalencji i ambitendencji, które spowodowały tragiczną niepełność jego twórczości oraz niepowodzenia życiowe. Norwid w ujęciu Malewskiej przedstawia się jak „Quidam" bezimienny, o którym poeta pisał do Krasińskiego: „Uważałeś zapewne, że dziełu temu dałem nazwę przypowieści, nie zaś powieści, a to z przyczyny, że intrygi i węzła dramatycznego, właściwego powieściom wielce się tu wystrzegałem — nie o to mi szło, ale właśnie że o to raczej głównie, co zazwyczaj tylko pobocznie z właściwych powieści wyciągamy. Dlatego to i bohater jest tylko ktoś, jakiś tam człowiek — quidam. Nic on nie działa, szuka tylko i pragnie dobra i prawdy i to jest jak to mówią, nic właściwie nie robi — cierpi wiele, a zabity jest prawie że przypadkiem..."

Zygmunt Bownik

Bezkrwawe zbrodnie

Wacław Jastrzębowski. Gospodarka niemiecka w Polsce 1939— 1943. Czytelnik 1946. Str. 410.

Wydana bardzo starannie, zarówno jeśli chodzi o papier, jak i czcionkę, przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" praca Wacława Jastrzębowskiego, jest pierwszą po wojnie publikacją, którą ujmuje wszechstronnie gospodarczą działalność Niemców w okresie okupacji. Dotychczas bowiem enuncjacje na ten temat ograniczały się do mniej lub więcej wartościowych artykułów na łamach prasy, do mało lub bardziej trafnych oświadczeń słownych na ten temat na przeróżnych, poświęconych zagadnieniom gospodarczym, konferencjach, debatach itd.

Jastrzębowski nie ogranicza się w pracy swej jedynie do terenu tzw. „Generalnej Guberni". Obejmuje ona również gospodarkę Niemców na ziemiach polskich przyłączonych do Rzeszy i zajętych przez nich dopiero w 1941 roku terenach b. wschodnich województw.

Niestety, pomimo bardzo szerokiego potraktowania zagadnienia, książka nie wyczerpuje tematu, pod względem chronologicznym. Praca Jastrzębowskiego obejmuje bowiem jedynie okres od początku okupacji tj. od września—października 1939 do 1943, brak więc jest najbardziej może brzemiennego w zniszczenia gospodarcze okresu następnego, okresu kryjącego w sobie Powstanie Warszawskie i powtórne przetoczenie się frontu przez nasze ziemie, a co za tym idzie okresu niemieckich poczynań ewakuacyjnych i niszczycielskich.

(Dalszy ciąg na str. 8-ej).

A KONKURS OCZYTANIA A

1. „I nie zważając, co powie na to cezar, wstał, by podeprzeć Winicjusza i wyjść z nim razem. Serce wezbrało mu litością, a przytem drażniło go nie do wytrzymania to, że cezar patrzył przez szmaragd na Winicjusza, studjując z zadowoleniem jego boleść, może dlatego, aby ją potem opisać w patetycznych strofach i zyskać poklask słuchaczów."

2. „— Ano właśnie; Fenia, Fenia, kawy! — krzyknęła Gruszeńka — już dawno kipi, czeka na ciebie, no i pierożków przynieś, tylko że gorących! Nie poczekaj, Alioszka, z temi pierożkami miałam dziś przeprawę. Zaniosłam mu do więzienia, a on, uwierzysz, rzucił mi z powrotem, no i nie zjadł. Jeden pieróg to nawet na podłogę cisnął i podeptał. Powiedziałam: „zostawię u dozorcy; jak nie zjesz do wieczora, to znaczy, że się złościsz jadowitą sycisz!" I poszłam. Znowuśmy się pokłócili. Co przyjdę do niego, to się kłócimy."

3. „Powóz stoczył się ze wzgórza i za chwilę zatrzymał przed bramą. Ale nim służący zlazł z kozła, żeby otworzyć, już wierzeje rozwarły się z trzaskiem. Słychać było zajadłe naszczekiwanie psów, wrzawę i wołania ludzi z latarniami biegnących do powozu. Wprędce obadwaj przyjezdni znaleźli się na stopniach szerokiego przedsionka. Krzysztof rzucił się w ramiona czyjeś, co stał w cieniu. Szeptał najczulsze nazwy, oddawał najrzewniejsze pocałunki. Rafał zażenowany stał z boku. Był onieśmielony i wściekły na przyjaciela za te czułości."

KRONIKA LITERACKA

— Departament Literatury Min. Kultury i Sztuki zadecydował o przetłumaczeniu na języki obce książki prof. **Ludwika Hirszfelda** „Historia jednego życia".

— Muzeum Narodowe w Warszawie wydało przewodnik po wystawie Cypriana Norwida, urządzonej w 125 rocznicę urodzin poety. Przewodnik omawia wydawnictwa i czasopisma dotyczące Norwida, biografię, twórczość pisarską i plastyczną.

— Tegoroczny Ogólnopolski Akademicki Turniej Krasomówczy zorganizowany zostanie przez Koło Prawników przy Wydziale Prawa K.U.L. w Lublinie.

— Z inicjatywy Zarządu Głównego Zw. Nauczycielstwa Polskiego odbędzie się w dn. 1—3 czerwca w Warszawie ogólnopolski zjazd, poświęcony literaturze dla dzieci.

— W ramach 49 „Środy Literackiej" w Bydgoszczy wystąpili w wieczorze autorskim dwaj znani pisarze śląscy: **Wilhelm Szewczyk** — laureat nagrody literackiej Katowic, oraz **Wojciech Żukrowski,** autor „Z krainy milczenia". Jubileuszowa, pięćdziesiąta „Środa Literacka" miała charakter szczególnie uroczysty. Po wstępnym przemówieniu prof. Remera, naczelnika Woj. Wydz. Kultury i Sztuki mgr. Kowalkowski przedstawił historię dotychczasowych „śród" bydgoskich, a wreszcie prof. dr Konrad Górski wygłosił odczyt p. t.: „Mickiewicz o nauce i mądrości".

— Zw. Zaw. Literatów w Krakowie urządził wielki poranek literacki, przeznaczając dochód na odnowienie ołtarza Wita Stwosza. Po słowie wstępnym Jerzego Andrzejewskiego recytowano utwory wybitniejszych poetów ostatnich czterech generacji.

— W Lublinie, w ramach środowych imprez Klubu Literackiego odbyła się prelekcja mec. Konrada Bielskiego „O grafomanach". Prelegent omawiał zjawisko grafomanii w literaturze, tak ważne, częste a lekceważone powszechnie i wskazał szereg konkretnych przykładów tych „ubogich krewnych" w dawniejszej i nowszej literaturze.

— W XV wieczorze Klubu Literackiego w Katowicach, poświęconym współczesnej poezji śląskiej wzięli udział: **Jan Baranowicz, Zyszko Bednarz, Wilhelm Szewczyk, Włodzimierz Zelechowski, Wojciech Żukrowski** i in.

— **Jan Parandowski,** który niedawno powrócił do kraju po paromiesięcznym pobycie w Szwecji, kończy pracę nad dwiema powieściami: „Powrót do życia" i „Koniec stulecia". Ukończona jest już książka o sztuce pisania „Alchemia słowa". O pobycie zagranicą mówić będzie prof. Parandowski na najbliższym wieczorze lubelskiego Klubu Literackiego.

— Sąd konkursowy nagrody literackiej Krakowa na rok 1946 przyznał jednogłośnie nagrodę w wysokości 50.000 zł. Jerzemu Szaniawskiemu za całokształt twórczości dramatycznej.

— W Ministerstwie Kultury i Sztuki odbyło się zebranie dawnych członków PEN—CLUB-u Polskiego. Zebranie postanowiło upoważnić dotychczasowy Zarząd PEN-CLUB-u do kooptacji nowych członków Zarządu, do ustalenia listy członków PEN-CLUB-u i zaproszenia doń pisarzy młodego pokolenia, do zwołania Walnego Zebrania członków i zorganizowania siedziby Centrali w Warszawie. Po dokonaniu kooptacji skład Zarządu Tymczasowego PEN-CLUB-u Polskiego przedstawia się następująco: prezes — Jan Parandowski, wiceprezes — Zofia Nałkowska, członkowie Zarządu — Wacław Borowy, Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Michał Rusinek, Jerzy Zawieyski

— Konkurs literacko-językowy ogłoszony przez Departament Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki został rozstrzygnięty. Sąd konkursowy w składzie: prezes Zarz. Gł. Zw. Zaw. Literatów Polsk. K. Czachowski, prof. W. Doroszewski, dyr. Departamentu Literatury S. Furmanik, J. N. Miller i J. E. Płomieński, spośród 176 nadesłanych prac wyróżnili pierwszą nagrodą (10.000 zł.) pracę Mieczysława Feliksa Ziemby pt: „Krótkie opowiadanie z własnego życia zawodowego". Cztery drugie nagrody (po 7,000 zł.) przyznano Władysławowi Parczewskiemu za „Nocny lot", Henryce Góreckiej za „Szary dzień w fabryce butów", Marii Leszczyńskiej za „Niezapomniane dni na kominiarskiej reducie", autorowi nie podpisanemu (hasło „Monopol") za „Powrót do pracy". Nagrody trzecie (po 5.000 zł.) przyznano również cztery, ponadto wyróżniono szereg prac.

KRONIKA TEATRALNA

— Ludwik Solski przyjął rolę w sztuce Krystyny Grzybowskiej „Promieniści", którą przygotowuje Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie.

— Krakowski Teatr Rapsodyczny przybył do Warszawy na kilka przedstawień gościnnych: „Żołnierzowi", „Hymny Kasprowicza", fragmenty rapsodów „Króla Ducha".

— Według danych ogłoszonych w „Wiadomościach Statystycznych" na terenie Polski istnieją 34 teatry dramatyczne w których wystawiono 291 sztuk, z czego 165 przypada na sztuki autorów polskich i 126 autorów obcych.

Maksymilian Chmielarczyk
reżyser „Szczeniaków"

— Teatr Miejski w Lublinie wystawia francuską komedię Ferdinand'a Rogera „Szczeniaki".

— Teatr Nowy w Poznaniu, wykazujący dużą aktywność, przeznaczył drugą scenę w ogrodzie na komedię muzyczną. W ciągu półtorarocznej działalności dano około 750 przedstawień, w tym wiele szkolnych i dla Związków Zawodowych. Obecnie Teatr przystąpił do organizowania scen robotniczych dla pracowników fabryk z terenu przedmieść Poznania, Lubonia i Głównej. Przedstawienia odbywać się będą na każdej ze scen 3 razy w miesiącu. Przygotowuje się „Wąsy i perukę" Korzeniowskiego i „Królową przedmieścia" Krumłowskiego.

— Grana w Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach sztuka Jerzego Szaniawskiego „Dwa Teatry" cieszy się wielkim powodzeniem. Wielkie poruszenie wśród publiczności katowickiej wywołał przyjazd autora. Na przedstawieniu, na które przybył Szaniawski, zgotowano serdeczną owację.

— Teatr RTPD „Baj" wystawia w Warszawie widowisko Franta „Dwa Michały i świat cały". Jest to obrazkowa lekcja geografii. Teatr „Baj" prowadzony obecnie przez Szczepana Baczyńskiego powstał w roku 1928, wznowił działalność w roku 1945. W ubiegłym roku dał „Baj" 150 widowisk na terenie Warszawy i całej Polski. Latem odwiedził kolonie dziecięce na Dolnym i Górnym Śląsku. W Warszawie obdarza widowiskami biedne dzieci w najbardziej oddalonych dzielnicach miasta: Koło, Ochota, Wola, Targówek.

— Państwowy Teatr Polski w Poznaniu wystawił komedię Michała Bałuckiego „Dom otwarty" w reżyserii Tadeusza Chmielewskiego.

— „Dom otwarty" gra również Teatr Miejski w Lublinie. Reżyseria Gustawy Błońskiej, oprawa muzyczna Stanisławy Szeligowskiej.

— Na „małej scenie" Państwowego Teatru Śląskiego im. S. Wyspiańskiego w Katowicach odbyła się premiera jednoaktowej sztuki Shawa „Mąż przeznaczenia", w przekładzie Sobieniowskiego i Musseta „Kaprysy Marianny" w przekładzie Boya-Żeleńskiego. Reżyserował Wł. Krzemiński.

— Teatr Polski w Bielsku pod dyr. Stanisława Kwaskowskiego po odegraniu w tym sezonie „Balladyny" Słowackiego, „Lata w Nohant" Iwaszkiewicza i „Pastorałki" Rydla, wystawił komedię Sardou „Madame Sans Gene" w przekładzie Ehrenberga. Reżyseria dyr. Kwaskowskiego.

— Teatr TUR w Chełmie Lub. wystawił „Ich czworo" G. Zapolskiej.

— Teatr objazdowy TUR na występach w Krakowie gra „Świętoszka" Moliera w reżyserii dr J. Ronarda Bujańskiego, grającego rolę tytułową.

— W Teatrze Miejskim we Wrocławiu odbyła się premiera komedii Gogola „Rewizor" w opracowaniu reżyserskim dyr. J. Waldena. W roli Horodniczego wystąpił J. Kurnakowicz.

— „Rewizora" przygotowuje również Państwowy Teatr Śląski w Katowicach. Reżyseruje Karol Borowski.

— Teatr Lalki i Aktora „Groteska" w Krakowie wystawił widowisko dla dzieci „Złota rybka". Stronę muzyczną widowiska opracował Stefan Kisielewski, plastyczną — zespół młodych artystów krakowskich pod kierownictwem Bunscha.

Tamara Pasławska
nauczycielka p. Bravard
w „Szczeniakach"

— W Teatrze Polskim w Bydgoszczy odbyła się prapremiera sztuki autorki bydgoskiej R. Nehrebeckiej „Odrodzenie". Równocześnie w sali TUR-u odbyła się premiera komedii Scribe'a „Walka kobiet"; reżyseria St. Dembowicza.

— Najbliższą premierą Teatru Ziemi Pomorskiej w Toruniu będzie komedia Chestertona „Magia" Poprzedzi ją jednoaktowy żart Shawa „Czarna dama z sonetów". Reżyseruje dyr. W. Horzyca. W Teatrze Domu Żołnierza krotochwila W. Rapackiego „Ja tu rządzę" ustępuje miejsca „Fircykowi w zalotach" Zabłockiego.

— W Łodzi odbyły się eliminacje łódzkich zespołów robotniczych, które miały zakwalifikować zespoły do udziału w ogólnopolskim konkursie zespołów amatorskich, organizowanym przez Centralną Komisję Związków Zawodowych.

— W Olsztynie rozpoczęły się przedstawienia konkursowe amatorskich zespołów artystycznych. Poza utworami dramatycznymi program konkursu eliminacyjnego przewiduje występy zespołów chóralnych, popisy solowe, rewie.

BEZKRWAWE ZBRODNIE

(Dokończenie ze strony 7-ej).

Ten bezsprzecznie poważny brak, spowodowany jest losami książki, które n. b. są bardzo ciekawe. Otóż autor stwierdza w przedmowie, iż opracowywał ją w Warszawie w okresie okupacji, w latach 1941—1943. W drugiej połowie 1943 roku rękopis przesłano w odbitkach mikrofotograficznych do Londynu, gdzie książka miała być wydana w języku angielskim, czego niestety nie urzeczywistniono. Rękopis pozostały w kraju, odpowiednio rozszerzony i zaktualizowany, spłonął w postaniu. Książka wydana przez „Czytelnika" oparta jest właśnie na rękopisie londyńskim, który po skończonej wojnie, został „repatriowany" do kraju.

Losy książki znajdują również w inny sposób odbicie na jej kartach. Była ona pisana dla czytelnika angielskiego — stąd pewien przerost dowodowości i argumentacji wraz z informacjami z przeszłości na ogół znanymi polskiemu czytelnikowi.

Praca pisana w okresie okupacji, w warunkach konspiracyjnych, wykazuje zrozumiałe braki w dokumentacji statystycznej. Posiada natomiast tę olbrzymią zaletę, iż zawiera fakty chwytane „na gorąco", z całym ładunkiem związanych z nimi uczuć. Język lekki, niezwykle interesujący a zarazem nad wyraz sugestywny.

Konstrukcja książki oparta jest na czterech członach. Pierwszy — to omówienie struktury gospodarczej i tendencji rozwojowych Polski międzywojennej. Drugi — skreślenie podstawowych założeń niemieckich planów odnośnie nowej struktury polityczno-gospodarczej Europy i świata oraz przypomnienie pewnych faktów z przeszłości polsko-niemieckiej. Trzeci — gospodarka niemiecka w okresie okupacji na terenach Polski, częściowa realizacja niemieckich planów długofalowych, w wielu wypadkach zmodyfikowanych i dostosowanych do potrzeb bieżącej chwili, do potrzeb wojny. Czwarty człon wreszcie to omówienie horoskopów na przyszłość, w wielu wypadkach bardzo trafnych w konfrontacji z dzisiejszą rzeczywistością.

Autor wykracza częstokroć poza zagadnienia czysto gospodarcze, omawiając sprawy konieczne dla zrozumienia całokształtu działalności niemieckiej.

Książka Jastrzębowskiego jest jeszcze jednym oskarżeniem hitleryzmu i narodu niemieckiego. Jest ona świadectwem ujętego w system, bezwzględnego rabunku i eksploatacji ze strony władz okupacyjnych, bezwzględnej i powszechnej kradzieży ze strony jednostek przeprowadzających tę okupację, rabunku i kradzieży, nieliczących się zupełnie z dobrem, a nawet życiem okupowanych. **(Olm)**

KUPON UCZESTNICTWA W „KONKURSIE OCZYTANIA" DWUTYGODNIKA KULTURALNO-LITERACKIEGO „ZDRÓJ"

Imię i nazwisko .....

Adres .....

ROZWIĄZANIE:

1. autor ..... książka .....
2. autor ..... książka .....
3. autor ..... książka .....

Redaktor: Dr STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI — Wydawca: FRANCISZEK TWARDOŃ
Redakcja i Administracja: Lublin, ul. Powiaków 5 m. 13; tel. 30-45. Redaktor przyjmuje: we środy od 15—16.
Administracja czynna codziennie od 9—13 i od 16—18 Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się
Cena Numeru 15 zł — Prenumerata: rocznie zł 300; półrocznie zł 160, kwartalnie zł 80.—

Druk. Nr 1. Spół. Wyd. „Czytelnik", Lublin, Zamojska 24 — A-12822.